ROK WYDAWNICTWA CZWARTY

Cena 50 gr.

REDAKCJA: LWÓW, HAUKE BOSAKA 4

1 maja 1937 roku

WYDAJEMY WE LWOWIE
29 NUMER PISMA

Sygnały

miesięcznik • sprawy społeczne • literatura • sztuka

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

KONIEC ŚWIATA

STARA ZIEMIA I STARE NIEBO MIJAJĄ

Wyobraźnia eschatologów i chiljastów chrześcijańskich wślad za zoroastryzmem widziała tylko wielki pożar, w którym zginie nasza ziemia, zanim przyjdzie chwila sądu ostatecznego nad żywymi i umarłymi. Nie wiedziano wtedy nic o ogniu huraganowym artylerji chrześcijańskiej, rozstrzeliwującej stare katedry, kościoły i cmentarze. Nikt nie przypuszczał, że właśnie w łonie społeczeństw, wyznających miłość i miłosierdzie jako zasadę życia, nienawiść i tchórzostwo buchną falami gazów trujących, że nienawiść ukryje się pod ziemią i pod wodą, aby stamtąd siać zniszczenie, niszczyć życie niewinnych dzieci, starców i kobiet, burzyć miasta, zatapiać statki. Nikt nie przewidział samolotu bombowego, który z bezpiecznej wysokości rzucać będzie na spokojnych starców, dzieci, kobiety i chorych bomby z gazami trującemi i zapalającemi. I nikt wreszcie nie przewidział, że całe narody zrzekną się swej wiary i staną się bogobójcami. Nikomu nie przyszło do głowy, że naród, który ogniem i mieczem niszczył ongi pogaństwo krzewiąc wiarę chrześcijańską, odwróci się gwałtownie od tej krzewionej przez siebie wiary i odwoła się do ponurych, mściwych bóstw Walhalli, że na miejscu jednej skasowanej wiary pojawi się dziesiątek wiar „na niby", jak powstała ostatnia i najwyższa już filozofja „des als ob".

Stara ziemia i stare niebo mijają. Co przyjdzie po nich? Czy nastanie może świat nowy bez głodu, cierpień i nędzy, bez chorób i śmierci, bez płaczu i smutku? Świat marzeń ludzkich, odwiecznych i powiecznych, złoty wiek radości i szczęścia, tysiąclecie pokoju chiljastów? Jak zorjentować się w chaosie dzisiejszym, co będzie jutro? Czy ludzkość idzie dokądś, czy też demonstruje, zgromadzona w jednem miejscu, faluje, chybocze, tupie i podnosi ręce do góry?

SĄD NAD CZŁOWIEKIEM

Może pouczy nas sąd nad człowiekiem, który odbywa się właśnie nad żywymi i nad umarłymi? Dziwny zaiste sąd człowieka nad człowiekiem! Sądzą go nie za winy, przestępstwa i zbrodnie, bo dla zbrodni miano zawsze i wszędzie dużo wyrozumiałości, ale za to, co w człowieku było zawsze najcenniejsze i najwyższe, za to, z czego rodził się postęp, z czego powstała rycerskość i mądrość demokracji, tolerancji, wyrozumiałości, wolnego badania i poszukiwania prawdy. Za najwyższą zbrodnię uznano dziś postęp, największych zbrodniarzy widzi sędzia w demokratach i liberałach, w tych, co nakaz miłości i miłosierdzia brali na serjo i zrzekali się wszelkiej przemocy człowieka nad człowiekiem. Największymi zbrodniarzami są dzisiaj ci, co tworzyli, badali, szukali prawdy i za poznaną prawdę nawet życiem własnem płacili.

Kto sądzi? Sędzia nie jest typem nowym. Istniał już dawno, ale był skromnym przedstawicielem mniejszości i nie odważał się własnej nicości podnosić do wyżyn nakazu i hasła. Gdy jednak w chaosie świata powojennego, ogołoconego z bohaterstwa i przeludnionego ocalałem tchórzostwem, stał się większością, wszystko się zmieniło. Znał ten typ Brzozowski, gdy pisał o nim w swej „Legendzie Młodej Polski": — „Przyjmuje się nie prawdę, lecz jej przyjemne i pożyteczne konsekwencje — nie wielką sztukę, wynik tragicznego życia, lecz jej „umilające życie" pozory, zewnętrzne zdobycze, nie pracę ekonomiczną, lecz dochody, nie kulturę, lecz komfort". Młody Nietzsche pisał przed siedemdziesięciu laty do siostry, że nie o takie „prawdy" chodzi, w których można się czuć przyjemnie i wygodnie, ale o takie, które odsłaniają rzeczywistość świata, orjentują ducha i serce. Ale niebawem miał się odezwać amerykański pragmatyzm i z wygody uczynić naczelną zasadę życia. I dzisiaj młodzi „rewolucjoniści" przekreślają wszystko, co stworzyła bezinteresowna rycerskość i mądrość i krzyczą, że nie o pracę badawczą chodzi, lecz o dochody, nie o kulturę, lecz o komfort, nie o sztukę tragiczną, ale o to, co życie umila.

POSZUKIWANIE WROGA

To jest zjawisko powszechne: wszyscy szukają wroga, ale możliwie łatwego, takiego, którego można szybko pokonać i trwale pokonywać. Dawniej rycerze poszukiwali przyjaciół i po walce podawali sobie dłonie na dozgonną przyjaźń. Teraz szuka się takiego wroga, z którym niema i nie może być pojednania nigdy. Dawniej ideałem był pokój, dzisiaj za najwyższy ideał uważa się walkę. Demokrata nie przemianowywał swego przeciwnika we wroga i nie mordował go. Przeciwnie, przeciwnik był mu potrzebny, bo w nim niby w żywem zwierciedle widział własne błędy. Szanował przeto swego przeciwnika, darzył go wolnością, dyskutował z nim i nieraz uczył się od niego.

Ale przeciwnik zniknął nagle razem z rycerskością, w chwili, gdy wielkie tchórzostwo puściło z siebie trujące gazy. W demokracji była wielka mądrość, rozumiejąca, że życie ludzkie nie zna ostatecznych załatwień i zakończeń jakichkolwiek spraw, ale że wszystkie sprawy muszą być załatwiane z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Była w tem duża odwaga, aby żyć w świecie, który nigdy nie będzie skończony, który wiecznie trzeba budować, przebudowywać, zmieniać, przystosowywać do potrzeb i wymagań człowieka. Na taką odwagę wiecznego tworzenia nie zdobył się tchórz i dlatego postanowił załatwić sprawę istnienia na ziemi raz nazawsze. Podczas gdy dotychczas świat musiał przystosowywać się do człowieka, mądrość tchórza wpadła na koncept osobliwy: przystosować człowieka do świata, zakazać postęp, zlikwidować raz nazawsze niepokojące myśli. Niespokojna myśl ludzka czyniła świat czemś niestałem, zmiennem, niecałkowitem. W koncepcji gnuśnego tchórzostwa zrodziła się całkowitość wszystkiego, ostateczność, nieodwołalność: całkowite prawa, całkowite wychowanie, całkowite państwo. Skończą się dzieje świata i dzieje człowieka, nastanie wieczne odpocznienie.

RACJONALIZM I MISTYCYZM

Wszystko, co ludzkość posiada wielkiego, zawdzięcza wolnej i nieskrępowanej pracy rozumu. Rozum znalazł drogę do antypodów, odkrył tajemnice słońc i planet, poczynił niezliczone odkrycia, powynajdywał mnóstwo cudownych maszyn i instrumentów, wymyślił najlepsze i najdoskonalsze sposoby współżycia człowieka z człowiekiem, wytyczył drogę rozwoju świata ku szczęściu wszystkich, dostatkowi, radości. Linja ta prowadzi nieomylnie od niewoli ku wolności, od ciemnoty ku światłu, od zwierzęcej bezmyślności ku śmiałej twórczej myśli. Ale ciągłość tego rozwoju była możliwa jedynie, dopóki na świecie było dość ludzi odważnych, zdecydowanych, nie lękających się prawdy. Gdy jednak na pobojowiskach świata zginęło tych najdzielniejszych tak tragicznie wiele, gdy zabrakło przedstawicieli rycerskości, wolności i woli prawdy, na widowni świata pojawił się typ nowy, ambitny, władczy, gotowy poświęcić ducha ludzkiego i całe jego wspaniałe bogactwo dla ułatwienia sobie nietrudnej sztuki rządzenia.

Przekreślono wielką treść ducha, wytworzono atmosferę, w której nie może się nigdzie pojawić ani Kopernik, ani Goethe, ani choćby Gogol, który chciałby napisać dzisiejszego „Rewizora". Dzisiejszy Chlestakow jest zabezpieczony przed krytyką, jak nigdy dotąd. Znika treść, panoszy się forma, wybija się słowiczy trelik, treść została zagadana. A przecie dość wyjść na przedmieście, dość zajść w ustronną uliczkę bezrobotnych, aby w oczach ludzkich, w bladości policzków, w zaciętych ustach, w wymuszonych uśmiechach znaleźć pytanie, na które trzeba odpowiedzieć sobie przedewszystkiem, a potem innym.

Kto widział człowieka-obywatela leżącego w brudnej, pustej izbie na brudnym sienniku, przytłoczonego straszliwym ciężarem goryczy i nienawiści wobec tych wszystkich, co tak spokojnie cierpieć i umierać pozwalają, ten już tego widoku zapomnieć nie może i zapomnieć nie powinien. Nie rozgrzeszy nas żadna pomoc zimowa, wiosenna czy letnia. Umiera człowiek nietylko z braku chleba i pracy, ale z braku tej [illegible]ości, która broni przed najstraszliwszem osamotnieniem. Takie książki jak Jana Dąbrowskiego „Na zachód od Zanzibaru" mówią o wielkiem społeczeństwie wydziedziczonych, dla których sama możliwość istnienia tkwi w przeczeniu wszystkiemu, co tworzy tak zwane wartości kulturalne. Ale literatura nie mówi wszystkiego. Zamiast prostych prawd o życiu, otrzymujemy zabawne stylizacje, pocieszne groteski i łamańce, bawiące znudzonego mieszczucha. Zracjonalizowanie tej tragicznej rzeczywistości, która puchnie z głodu chleba, miłości i wolności ducha byłoby wielkim czynem, ale racjonalizm został wyklęty przez najróżniejsze mistycyzmy i fidrygalizmy, na których zbiera się wielka odpowiedzialność. Milczenie jest zabójcze nie dla przemilczanych, ale dla przemilczających.

SPENGLERYZMY

Czy zrozumiano, co to jest spengleryzm w swej najgłębszej istocie? Anatol France powiedział kiedyś, że historja nie jest wiedzą w ścisłem znaczeniu słowa, ale subjektywnem segregowaniem wydarzeń świata według uznania danego historyka. Istniało wszakże rzetelne usiłowanie poznawania rzeczywistości, objaśniania jej z dnia na dzień, z roku na rok. Była to praca trudna, ale w każdym razie jedna z tych prac ducha ludzkiego, które nigdy się nie kończą, kończyć nie mogą. Aż oto przyszedł Spengler z nieświadomym kompleksem jednego z totalizmów, z pragnieniem zakończenia pewnego dzieła, zlikwidowania pewnego świata, zamknięcia raz nazawsze określonych wysiłków. Przejrzał jeszcze raz dzieje świata, posegregował je i stworzył „morfologję kultury", zamykając dzieje świata. Odtąd nie trzeba będzie badać dziejów, bo zgóry będzie wiadomo, co przyjść musi po zdarzeniach takich a takich i co powtarzać się będzie w ściśle wymierzonych okresach.

„Zagłada kultury zachodniej" była dla niejednego wyrazem pesymizmu Niemiec, które przegrały wojnę. W istocie dzieło to jest dowodem znużenia człowieka, który pracę powszednią zamyka jednorazowym większym wysiłkiem, aby już można było złożyć ręce i odejść na dożywocie. Takich spengleryzmów mamy dużo. Dobrze znamy faszyzm, który jest także postacią spengleryzmu, ale w innych dziedzinach życia. Likwiduje człowieka żywego z jego olbrzymiem bogactwem myśli, odkryć, wynalazków, stwarza schemat. Zakazuje mówić, co człowiek czuje, co myśli, czego pragnie, do czego ma prawo. W ankiecie „Prager Presse" na temat kryzysów dzisiejszych a roli książki, Guglielmo Ferrero powiada, że zdaniem jego jedna przedewszystkiem książka powinna stać się stałą lekturą klas kierowniczych, a mianowicie kodeks karny, osobliwie zaś te jego części, które mówią o zabójstwie, kradzieży, fałszerstwie pieniędzy, nadużyciu zaufania, oszustwie, nielegalnem organizowaniu sił zbrojnych i wojskowych rewoltach.

Bolesna, zaiste, ironja, ale ta ironja jest bezsilna wobec ludzi pozbawionych sumienia. W „Dwóch końcach świata" Słonimski pokazał, do czego prowadzi bezinteresowność twórczego genjuszu. Pierwszy lepszy bałwan opanowuje zdobycze ducha ludzkiego i przy ich pomocy wymordowuje człowieka, nie umiejąc w swej tępocie zdać sobie sprawy z banalnej prawdy, że każde ułatwienie rządzenia kosztuje niesłychanie drogo, bo zabija myśl twórczą, a nawet przemienia siły twórcze w siły niszczycielskie.

ODRODZENIE

W dziejach świata powtarzają się załamania ducha ludzkiego, stagnacje a nawet ruchy wsteczne. I dzisiejsza reakcja nie byłaby tragedją, gdyby nie pewna okoliczność. Oto nieszczęście, jakiem jest załamanie się ducha ludzkiego po wojnie światowej i konieczność

JERZY WYSZOMIRSKI

ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA MILEWSKIEGO

(Fragmenty z powieści „Powrót do ojczyzny")

I

Na kilka dni przed przyjazdem ojca Romanowi śniło się, że jest w cyrku. Znał cyrk, nietylko z opisów i obrazków. Przed paru laty, podczas pobytu z rodzicami w Warszawie, był pilnym widzem kilku przedstawień, które oszołomiły go i zachwyciły, przenosząc w świat magji, cudów i sztuk, zdawałoby się nadludzkich, niepojętych. Więc śni mu się, że jest w cyrku, ale nie wie, dlaczego przyszedł sam. Niema przy nim ani matki, ani kolegów, i choć ten fakt sam przez się nie powinien być niepokojący, bo Roman jest już dużym chłopcem, uczniem czwartej klasy, czuje naraz we śnie, że zaczyna go to niepokoić. Rozgląda się dokoła jakby z lękiem i widzi, że siedzi sam jeden w loży, tuż przy arenie, a dokoła niego pusto, i publiczność jakgdyby odsuwa się od niego coraz dalej, przygląda mu się uważnie i coś szepce. Roman patrzy na swoje ubranie, na ręce, dotyka siebie. Czemu oni tak mi się przyglądają? — myśli z coraz większym niepokojem i sprawdza ruchami rąk, czy wszystko jest w porządku. Już chce uciec z tej loży prawie ze strachem, gdy grzmi fanfara, rozsuwa się zasłona akurat naprzeciwko Romana i wybiega stamtąd jego ojciec w stroju linoskoczka. Ma na sobie obcisłe trykoty, biegnie szybko po trocinach areny (Roman czuje ich woń wilgotną), z uśmiechem kłania się na lewo i na prawo, a potem staje na środku, twarzą do Romana i przesyła mu od ust pocałunek. Roman nie dziwi się na widok ojca; jest tylko zamyślony aż do bólu i marszczy czoło. Słychać ze wszystkich stron oklaski. Ojciec chwyta linę, zwisającą od stropu, wspina się po niej ze zdumiewającą zręcznością i już siedzi wysoko — wysoko na trapezie. Służba cyrkowa w czerwonych ze złotem frakach odciąga linę. Roman podnosi głowę i uważnie śledzi ruchy ojca, który huśta się wtył i naprzód, coraz szerzej, coraz szybciej i zawrotnie, zaczynając niemal fruwać pod stropem. I Roman musi wciąż ruszać zadartą głową wtył i naprzód, aby nie stracić nic z jego lotu. Nagle ojciec staje na trapezie. Roman omal nie krzyknął w lęku o niego i w zachwycie, że tak cudownie pokazuje sztuki. Lecz natychmiast wie, że nastąpi nieszczęście. Chce cofnąć się z krzesłem, jakby w ucieczce od wypadku, który musi nastąpić, lecz nie ma ani siły ani czasu, bo ojciec leci wdół jak jaskółka, gdy nagle spada w locie. Ale jaskółka może się poderwać, jeśli zechce, do góry; ojciec nie mógł już tego dokonać. Zatrzepotał ramionami, jakby myśląc, że ten trzepot utrzyma go w powietrzu. Napróżno. Roman nie zdążył się cofnąć, gdy ojciec runął głową do jego stóp. Cyrk nie wydał z siebie głosu; zamarł w oczekiwaniu i patrzył ciężkim wzrokiem na Romana, pragnąc zobaczyć, co też on uczyni w tej chwili. A Roman, usłyszawszy upadek ojcowskiego ciała i widząc krew, jak bryznęła mu do nóg, obudził się.

Sen przyśnił się nad ranem kwietniowego dnia. Chłopiec obudził się ciężko, z bólem głowy, spocony i wyczerpany. Gdyby to była ciemna noc, możeby zaczął krzyczeć i krzykiem obudził matkę. Ale jasność poranku i promienie słońca, zaglądające w jego okno, wypłoszyły zmorę. Roman usiadł na łóżku, spojrzał na zegarek. Dochodziła godzina siódma: niezadługo trzeba wstawać do szkoły. Roman zapragnął przeżegnać się, i przeżegnał się nawet, chociaż bez przekonania, poto tylko, by „coś" znakiem krzyża odpędzić. Chwilę rozmyślał nad snem i stanął wobec zagadki, która go przytłoczyła. Musiał stwierdzić, że oto jednocześnie z okropnem widziadłem sennem objęła go niejasna lubość cielesna, która wprawdzie była męcząca, lecz pozostała lubością. To połączenie niezaznawanej dotychczas rozkoszy ze strasznym snem, z widokiem krwi ojca, która na niego bryznęła, wydało mu się ohydne jak grzech niewypowiedzianie ciężki. Nie mógł pojąć, jak to się stało, nie mógł sobie wytłumaczyć zamętu duchowego i fizycznego, w jakim się nagle znalazł. Czem on tu zawinił, jakiego dopuścił się występku? Przez sekundę pomyślał, czy nie opowiedzieć snu matce, ale otrząsnął się na tę myśl. Snu tego nie może przecie opowiedzieć nikomu. I musi utaić w sobie ten poranek kwietniowy jako swoją wyłączną własność, której nie wolno mu nikomu powierzyć.

Po kilku dniach przyjechał ojciec.

— Jakże wyrosłeś, mój synku! — wołał, obejmując i całując Romana: — pokaż mi się dokładnie, niech cię obejrzę ze wszystkich stron.

Odsuwał się o parę kroków, uśmiechnięty i rozradowany, patrzył i znów całował, a potem kazał Romanowi maszerować po pokoju.

— Głowa do góry, równym krokiem marsz! — i znowu wziął go, śmiejąc się w ramiona: — ileż to czasu myśmy się nie widzieli? Mama i babcia zaraz nam dokładnie obliczą... Tak chciałem nieraz już przyjechać do was, ale nie można było, w żaden sposób nie można było. A Roman nie był dobry dla ojca, oj nie! — mówił ze śmiechem: — za krótkie listy pisał!

Potem te słowa „nie był dobry" powracały nieraz w sercu Romana jako wyrzut sumienia. Ale teraz ojciec zwracał się do niego nie z wyrzutem, lecz z żartem i ze śmiechem. Było mu to bardzo miłe i chciał odwdzięczyć się równą miarą uśmiechu i miłości. Cóż jednak mógł począć, skoro go męczył i gryzł niedawny sen. Przemaszerował po pokoju raz i drugi, wznosił głowę zuchowato i uśmiechał się, czując jednak, że czyni to wszystko nie tak, jak powinien.

— Ależ wy go tutaj chowacie jak pannę! — wołał wciąż żartem pułkownik Milewski, dostrzegając pewną „niemrawość" syna; takiem właśnie słowem określiłby stan, który w Romanie zauważył: — zepsujecie mi chłopca do reszty! Nieprawda, Romanie, ja żartuję! Podobasz mi się bardzo. Wyrosłeś, zmężniałeś, masz śmiałe oczy — wziął go pod brodę i uniósł głowę — tylko troszkę zachmurzone, dlaczego? A powinny być wesołe, najweselsze, nietylko dlatego, że przyjechał ojciec, lecz wogóle i zawsze.

Roman odpowiedział ojcu mocnym uściskiem. Objął go za szyję i szepnął:

— Tęskniłem bardzo do ciebie. Jakby to dobrze było, gdybyśmy mogli być znowu wszyscy razem.

Roman chciałby ojcu powiedzieć dużo, nie mógł jednak wyrazić tego, co czuł. Nadewszystko zaś, widząc przed sobą ojca, pełnego życia, roześmianego i szczęśliwego, nie mógł stłumić w sobie wspomnienia strasznego snu. Dlaczego ojciec, strojny oficer w lakierowanych butach, przedstawił mu się w dziwacznej, niewyobrażalnej nigdy na jawie, postaci linoskoczka? Niepodobieństwem jest coś takiego pomyśleć. I Roman, jakby zestawiając sen z rzeczywistością, po raz pierwszy, być może, w życiu, przyjrzał się uważnie ojcu. Był to mężczyzna nieco wyższego ponad średni wzrostu, lat czterdziestu pięciu, wysmukły na swój wiek i z tą postawą, którą wytwarza długoletnia służba wojskowa, pełniona z zamiłowaniem. Była to więc postawa sprężysta, wyprostowana, pewna siebie, przywykła do tego, by ją szanować i ustępować jej z drogi, energiczna, o ruchach stanowczych i rozkazujących, ale jednocześnie nieco znużona wieloletnim wysiłkiem niełatwej służby. Miało się wrażenie, że ta postawa pułkownika Milewskiego, jego układ ciała, krój — żeby tak powiedzieć — całej postaci zależą przedewszystkiem od obcisłego munduru, od twardego kołnierza i lakierowanych długich butów, od tych wreszcie naramienników złotych i błyszczących guzików. Pułkownik Milewski był usztywniony swym strojem, i on to jakgdyby nadawał mu stanowczość i siłę. Gdyby go przebrać w cywilny garnitur, możeby się rozluźnił i zgarbił, poczuwszy gnuśność marynarki i wolno opadających spodni. Roman wiedział po sobie, jak inaczej poruszał się w swym mundurku gimnazjalnym z wysokim kołnierzem, a inaczej latem na wakacjach, kiedy się ubierał jak chciał. Ale Roman czuł się wówczas swobodnie i niezależnie; pułkownik Milewski zaś, pozbawiony munduru, rozmiękczyłby się niejako, tembardziej, że, przyjrzawszy mu się bystrzej, można było zauważyć, iż wyraz jego przyjemnej, ciemno opalonej twarzy był przygasły i bynajmniej nie tak energiczny, jak jego postawa. Skronie pułkownika mocno już posiwiały, kąty czoła wydłużyły się znacznie, ogarniane łysiną, na policzkach pod oczami przeglądały spod opalenizny coś jakby plamy, lekkie wprawdzie, a jednak zbliska dostrzegalne i dziwne. Tylko przycięte wąsy były prawie czarne jak dawniej, i ładne zęby bielały w uśmiechu, jak dawniej, spoza pełnych, zmysłowych warg, takich samych, jakie miał Roman — gładkich i czerwonych. Wszelako wargi ojca płowiały, powlekane ledwie — ledwie sinością. Roman patrzył na ojca i gdy ten gibko przechadzał się po pokoju w swym mundurze, pomyślał nagle, że w jego ruchach jest niejakie podobieństwo do linoskoka w obcisłych trykotach. Lecz zaraz przeraził się swej myśli i z bijącem sercem podbiegł do ojca, by raz jeszcze zarzucić mu ręce na szyję.

II

Wreszcie zbliżyła się owa chwila. Nastąpił już Wielki Tydzień, wypełniony przygotowaniami przedświątecznemi, krzątaniną i nieładem. Zmieszane i drażniące zapachy goździków, majeranku i wanilii, pieczonych ciast, tłustych szynek, gęsi i indyka poczęły nasycać dom właśnie wówczas, gdy należało pościć i umartwiać się. Umartwiania, polegającego na unikaniu śmiechu i wesołości, na zachowaniu powagi, na wytwarzaniu nastroju „Gorzkich żalów", pilnie przestrzegała pani Chmurska. Była ona nieumęczona w tego rodzaju praktykach, które przychodziły jej bez wysiłku: zawdzięczała tę łatwość wiekowi podeszłemu i zajęciom domowym, pochłaniającym ją całkowicie, pospołu z córką. Ale Roman burzył się i nudził, tem bardziej, że pogoda kwietniowa poczęła się psuć. Powróciły przenikliwe chłody i co dnia padały deszcze, ponure i długotrwałe jak w październiku.

Nudził się również pułkownik Milewski. Po tygodniowym pobycie w domu nacieszył się rodziną i jakby rozładował uczuciowo. Było mu dobrze, ale gdy już minął okres podniecenia i zapanował stan normalny, stan współżycia z rodziną, zaczął odczuwać także brak normalnego zajęcia. Przyzwyczajony całe życie do ruchu, do tej atmosfery, jaką daje życie wojskowe, nie umiał obyć się bez niej, nawet przez krótszy czas. Dobrze jest wrócić do domu po kilku godzinach pracy w kancelarji pułkowej i w koszarach, wrócić na obiad, porozmawiać z żoną i z synem, dowiedzieć się czegoś od nich z ich kłopotów i radości, zwierzyć się ze swoich, potem znów kilka godzin na normalnej pracy ze swymi oficerami i żołnierzami, wydawać rozkazy, udzielać pochwał i nagan, potem przyjść wieczorem na kolację, znów rozpytać w domu o to i owo, posiedzieć przyjemnie przy lampie, odpocząć, zagadnąć syna o lekcje i stopnie... Słowem, pułkownik tęsknił do czegoś, co byłoby „normalne" czyli ujęte w prawidła i normy ustalone, obejmujące i wypełniające życie. Tymczasem tu w domu panowało jakby naumyślnie zamieszanie i jakiś nieporządek, czego pułkownik nie znosił. Ponadto czuł, że choć bardzo tu troszczą się o niego, choć jest niewątpliwie ważną osobą w domu, przecie obie kobiety obchodzą się z nim niemal jak z Romanem. Pilnują, czy zjadł należycie śniadanie, czy jest mu dosyć ciepło, czy może chciałby, żeby raz jeszcze napalić w piecu, bo na dworze wciąż chłodno i deszcz. Te dowody troskliwości były miłe i przyjemnie rozleniwiające, ale jednocześnie jakby go pomniejszały. Czuł, że jest mu wygodnie, że nie potrzebuje myśleć o niczem, a jednocześnie denerwował się tem, sam nie wiedząc czemu.

Ten stan pułkownika wytłumaczyć można było powierzchownie tem, że przywykł on do życia czynnego i do rozkazywania, a tutaj tych dwóch warunków, koniecznych do zapewnienia mu dobrego samopoczucia, zabrakło. Tak też sobie tłumaczył swoje „nudy" i „zdenerwowanie". Ale chwilami zdawało mu się, że jest jeszcze inna przyczyna zdenerwowania, głębsza i ukryta, jakaś rodzinna czy wogóle niezwyczajna, której wyjaśnić sobie nie umiał. Więc stawał się rozdrażniony bez powodu albo osowiały, budząc niepokój w żonie, która dopytywała się z delikatną troskliwością, lękając się go urazić, o przyczyny niehumoru, i prosiła wciąż, by się poradził doktora Czaplickiego, co jeszcze bardziej wytrącało pułkownika z równowagi. Roman zaś, patrząc na ojca, powracał wciąż z lękiem do swego snu i przeżywał chwile ogromnego cierpienia. Widać to było po nim.

Pułkownik zauważył zły wygląd syna, nie przypisywał mu jednak większego znaczenia. Niepogoda, co nie pozwalała wychodzić z domu, bezczynność świąteczna i odprężenie nerwowe po pracy w szkole, wzruszenia wywołane przyjazdem i pobytem ojca — mogły wpłynąć na zachowanie się Romana. Jednakże pułkownik nie zdawał sobie sprawy z rzeczy najistotniejszej: że dobiegało kresu jego bytowanie ziemskie, i w ostatnich niemal godzinach życia, które mu pozostały, musiał nastąpić niezrozumiały niepokój oczekiwania, musiało nastąpić jakby rozluźnienie związków z ziemskiem otocze-

---

pewnych zarządzeń podobnych do diety w ciężkiej chorobie, uznane zostały przez duże odłamy młodych i starych za wyraz najwyższej mądrości społecznej i politycznej. Co było dotychczas, było głupie i złe, dopiero jarzmo i chomąto, dryl i pałka, chleb na kartki i myśli na kartki, oto szczęście najwyższe, radość i wesele. Jest coś nieslychanie upokarzającego w widoku pisarzy, którzy, wychowani przez wolność demokracji, opluwają tę demokrację jako objaw wynaturzenia i zwyrodnienia, sławiąc jednocześnie własną obrożę, nabijaną srebrnemi gwoździkami. Zaiste, słuszne są słowa zmarłego niedawno Miguela Unamuno, że nie tyran stwarza niewolników, ale niewolnicy powołują do życia tyrana.

Ale nie rozpaczajmy! Czy możemy sobie wyobrazić, że człowiek pchać się będzie w jarzmo wołu i że chomąto uzna za najpiękniejszą ozdobę karku? Czy zrzeknie się człowiek pragnienia poznawania prawdy? Czy zrezygnuje z wolności ducha? Epoka historyczna jest krótka, ale w perspektywie paru tysięcy lat widzimy jedno: dążenie ku wolności, walkę o wolność, wiarę w wolność. I wszystko, co ludzkość posiada pięknego, mądrego, doskonałego, jest dzieckiem wolności. Nie byłoby wiedzy współczesnej ani wspaniałych dzieł sztuki, gdyby badacz i artysta nie byli naprzód wywalczyli dla siebie i ducha swego wolności twórczej. Gdy załamywała się wolność, zanikała mądrość, marniało piękno. Za wolność najlepsi i najszlachetniejsi płacili życiem, jako za wartość cenniejszą od życia. Czyż możemy na chwilę przypuścić, że w duszy ludzkiej może zajść kiedykolwiek taka śmiertelnie chorobliwa zmiana, że zacznie ona cenić niewolę i gardzić wolnością? Co więcej, nawet tyran rozumie, że przyuczanie ludzi do niewoli może być wygodne dla niego, ale tylko w pewnych warunkach i na krótko.

Świat dzisiejszy jest chory. Nakazał sobie djetę, ograniczył ruch, jak kazał instynkt samozachowawczy. Ale djeta samoograniczeń nie jest i nie może być ideałem. Dusza ludzka jest wolna i wszędzie i zawsze dążyła ku wolności. Toteż na wszystkie faszyzmy, hitleryzmy i rexizmy patrzmy jako na przemijający objaw ciężkiego załamania ducha ludzkiego, wyjałowionego wojną. Jego słabość została wyzyskana, aby mu zasugestjonować, że teraz dopiero nastał raj na ziemi. Ale pragnienie wolności jest wieczne i elementarne. Gdy wróci zdrowie, rozlegnie się nieśmiertelne hasło wolności ducha i sprawdzi się słowo ewangelji jeszcze raz: — Duch tchnie, kędy chce. — Inaczej być nie może. Wolność jest żywiołem.

Paweł Hulka-Laskowski

niem; dla otoczenia tego musiał tracić zainteresowanie i sympatję, zagłębiając się i uciekając w siebie, aby wewnątrz siebie szukać łączności jeszcze, lecz już jakichś punktów zetknięcia się z tym światem, do którego miał przejść niezadługo. Tu się kryło źródło tych jego stanów, które zwracały uwagę żony, a których nie umiała sobie ona wytłumaczyć jak tylko, słusznie zresztą, chorobą. Stąd rozdrażnienie pułkownika, jako unaoczniający się rezultat jakichś procesów wewnętrznych, nieuchwytnych a przedśmiertnych, których tajemniczy niepokój nie poddawał się wyjaśnieniom; stąd „osowiałość" jako ostateczna, zewnętrzna, bezsilna reakcja na te niepokoje. Naturalnie byłoby dobrze, gdyby zawezwano doktora Czaplickiego. Ale pułkownik nie chciał się zgodzić, i trudno było postąpić wbrew jego woli. Możeby doktór coś zaradził, coś pomógł. Chociaż kto wie: zbliżało się zapewne przeznaczenie, i wszelkie środki ludzkie, aby mu zapobiec okazały się niedołężne.

Składało się wreszcie tak, że okoliczności zewnętrzne stawały na przeszkodzie, by można się było zająć usilniej pułkownikiem. Przygotowania świąteczne pochłaniały czas i uwagę kobiet. Chciały one, by ta Wielkanoc, którą on spędzi wreszcie z nimi po długiej rozłące, wypadła jak najpiękniej i najuroczyściej; by święto Zmartwychwstania stało się świętem radości i pojednania ostatecznego; więc zabiegały o sprawy, w ich przekonaniu niezmiernie ważne: o rzeżuchę i baranka, o pisanki i kraszanki, widząc w nich symbole oczekiwanej radości. Gdy pani Milewska zapytywała: „A może jednak posłać po Czaplickiego?" — czyniła to raczej zdawkowo, wiedząc po pierwsze, że mąż się nie zgodzi, więc właściwie pyta go niepotrzebnie i może znowu rozdrażnia; a po drugie — wierzyła, że niech się tylko skończą wszystkie kłopoty domowe i cały rozgardjasz, niech wreszcie deszcz przestanie lać i wyjrzy słońce — wszystko się natychmiast poprawi, uspokoi i rozraduje. Co się tyczy syna, wciągała go do pomocy sobie do malowania jaj wielkanocnych, aby się rozerwał, nie nudził, nie snuł po kątach, bo rzeczywiście chłopiec nie ma nic do roboty i nawet wyjść nie może: tak ten deszcz wciąż leje i leje. Nic dziwnego, że chodzi jak mara.

Roman tymczasem pragnął rozmowy z ojcem i nie mógł pojąć, czemu ojciec nie przywołuje go do siebie, a woli siedzieć samotnie, odrzuciwszy się na oparcie fotela, otulony w szlafrok, z papierosem mocnym i woniejącym, myśląc niewiadomo o czem; lub, popijając jeszcze jedną szklankę mocnej herbaty, trzyma na kolanach wielki i gruby tom Puszkina, który Roman otrzymał w zeszłym roku jako nagrodę szkolną, i przewraca kartkę za kartką. Papierosy i herbata uspokajały prawdopodobnie chwilowo pułkownika, ale potem pobudzały go jeszcze bardziej, stając się powodem owych drobnych, drażniących go, uwag żony, aby przestał, bo to jednak szkodzi. A pułkownik dobiegał już, nie wiedząc o tem, momentu, gdy mu już było wszystko jedno. Więc odpowiadał na uwagi opryskliwie, i pani Milewska przerywała je coprędzej, by nie drażnić męża, pocieszając się, że zaraz się to wszystko skończy i poprawi.

III

Pod wieczór pułkownik Milewski był niezwykle ożywiony, ale w tem ożywieniu, gdyby mu się przyjrzeć przenikliwiej, można było dostrzec roztargnienie, jakby rozproszenie myśli. Zmieniał szybko tematy rozmowy, chodził i mówił dużo i niepowstrzymanie, wyraził nawet żądania, które wywołały zgorszenie obu kobiet. Zapragnął naprzykład kieliszka wina.

— Macie wino na święta! — zawołał: — dajcie mi kieliszek. Chętnie wypiłbym kieliszek dobrego wina.

— Stefanie — powiedziała pani Chmurska karcąco: — co też ty mówisz! Dziś wielki piątek. Jeśli już nie „z tego względu", to chyba dla nas możesz to zrobić...

— Zrobić to dla was? — przerwał pułkownik, nietylko nie dotknięty odmową, lecz nawet rozbawiony. — a jeżeli nie zrobię?

Odpowiedziano mu wyczekującem milczeniem.

— Ależ zrobię! Naturalnie, z całą chęcią, z całą przyjemnością. Tylko — powiedzcie mi, cóby wam szkodziło, gdybym wypił kieliszek wina?

Staruszka nie wiedziała, czy pułkownik żartuje, czy też rzeczywiście wypiłby tego dnia wina. Milczała, myśląc, że jednak mógłby się w taki dzień zachowywać inaczej, jeśli nie „z tego względu" i jeśli nie „dla nich", to przez wzgląd na syna, któremu należy dawać przykład.

— Nam nie zaszkodzi, tobie raczej mogłoby nie posłużyć — wtrąciła pani Milewska.

Pułkownik jakby nie dosłyszał uwagi, która w innym wypadku wywołałaby zapewne jego protest.

— Więc nie będę pił wina. Zaczekamy z tem do niedzieli, prawda? Ale w niedzielę wypijemy wina. Wybornie.

Spacerował po pokoju przyspieszonym krokiem. Był w mundurze, zapięty na wszystkie guziki, i w błyszczących lakierowanych butach z ostrogami, które wydawały na dywanie matowo srebrzysty dźwięk. Spacerując, stanął w otwartych drzwiach, oparł się o uszak z założonemi wtył rękami i odrzuconą głową. Niespodziewanie, nie patrząc na nikogo, odezwał się do żony:

— Zagraj mi coś. Cokolwiek. A najlepiej „Poemat erotyczny" Griega.

Gdy tak stał, przypomniał się nagle Romanowi porucznik Pawłow, który niegdyś — Romanowi wydało się, że to już bardzo dawno — stawał w drzwiach, oparty o uszak, i barytonem śpiewał polską piosenkę o Stasiu, co przywiózł pierścionek z jarmarku. To przypomnienie zdziwiło go więcej, niż prośba ojca, która przecie była dziwaczna.

— To przechodzi wszelkie pojęcie! — krzyknęła pani Chmurska, prawdziwie oburzona: — jeżeli masz stroić żarty w takim dniu, wolę stąd wyjść. Ale i żarty muszą mieć kres, i są rzeczy, z których żartować nie wolno...

Wszyscy jednak odczuli natychmiast, że pułkownik bynajmniej nie żartował, że w takim dniu nie pozwoliłby sobie na podobny żart. Więc prośba jego wzbudziła natychmiast niepokój. Pani Chmurska, spojrzawszy na zięcia uważniej, pożałowała swych słów. Pani Milewska chciała coś powiedzieć, lecz, patrząc na męża, pobladła: pułkownik nie wyglądał dobrze. On zaś, trąc ręką czoło, jakby bolała go głowa, czy też jakby chciał skupić rozbiegłe myśli, odpowiedział bardzo szybko i głośno, nawet krzykliwie:

— Rzeczywiście, co też ja mówię! Niechże mi mama wybaczy. Doprawdy, nie chciałem urazić, proszę mi wierzyć, że nie chciałem urazić. Sam nie rozumiem, jak mogłem coś podobnego powiedzieć. Mam dziwny zamęt w głowie. Ale już mija, naprawdę mija... Już, już jest mi zupełnie dobrze...

Wyciągnął rękę przed siebie, jakby zamierzał powstrzymać żonę, która postąpiła doń parę kroków. Roman uniósł się na kanapie, bo wydało mu się, że ojciec znowu „majaczy". A on zląkł się, że gdy wspomniał o zamęcie, rzucą się znowu do niego z zapytaniami, z troską, i znów poczną zamęczać prośbą, by zawołał lekarza. Oderwał się od drzwi, odetchnął głęboko nie przerywanym i dygocącym oddechem.

— Czy pójdziemy na Groby? — spytał raptem, zmieniając rozmowę: — już zmierzch.

— Pójdziemy! — zawołał Roman, ucieszony, że dziwna i złowieszcza chwila minęła, i zaczął mówić prędko, jakby ją chciał zagadać: — w kościele Kapucynów jest zawsze śliczna fontanna i ptaszki śpiewające. Ale te ptaszki umieszczone bywają zawsze tak wysoko, tak jakoś ukryte, że ich zupełnie nie widać. Ja się spierałem w zeszłym roku z kolegami, czy one są żywe, czy sztuczne. Mnie się zdaje, że sztuczne, z nakręconą maszynerją. Teraz tatuś objaśni mi, jakie są one naprawdę.

— Może pójdziemy jutro — zaproponowała łagodnie pani Milewska: — tatuś wygląda trochę zmęczony.

— Przeciwnie — zaprzeczył pułkownik: — czuję się znakomicie. Ale jak chcecie, pójdziemy jutro. Wszystko jedno.

Najokropniejsze było to, że nikt się nie spodziewał, iż za godzinę pułkownik Milewski zakończy życie. Wprawdzie odczuwali wszyscy coś dziwnego w jego zachowaniu się, w sposobie mówienia, w niepokoju, jaki go ogarniał — nikomu jednak przez myśl nie przeszło, że to są oznaki końca. Jedna Fräulein Gertruda mogłaby coś o tem powiedzieć, ale ta obca osoba, wiedziona delikatnością, jakby się stuszowała i zatarła w domu Milewskich w ciągu tygodnia pobytu w nim pułkownika. Prawie nie było jej widać i słychać. Pomagała coś tam obu paniom, załatwiała jakieś sprawy domowe, a potem, gdy uznała, że wypełniła swe obowiązki, ginęła w swym pokoiku, nie chcąc przeszkadzać rodzinie. I wszyscy jakby o niej na ten czas zapomnieli. Jednakże, gdyby ją było zapytać, powiedziałaby niejedno mądre słowo. Dopiero potem powiedziała cośniecoś Romanowi. I dopiero potem ów kieliszek wina, którego pragnął pułkownik, nabrał głębokiego, tragicznego sensu, jako ostatnia prośba umierającego, i powrócił w pamięci obu kobiet wyrzutem sumienia. To samo stało się z „Poematem erotycznym" Griega. To samo z każdem słowem pułkownika, które w tej chwili jeszcze mogły wydawać się i żartem, i lekceważeniem uświęconych tradycyj, i poprostu próżną gadaniną. Mimo to trwał w te godzinę nastrój ciężki i przygnębiający, którego nikt nie mógł przerwać. Zapewne sprzyjał temu nastrojowi dzień wielkopiątkowy, ponad którym unosiła się niesłyszalna melodja „Gorzkich żalów".

Pułkownik siadł na kanapie i przyciągnął do siebie syna. Nad stołem jadalnego pokoju paliła się już lampa naftowa, rzucając krąg światła na stół, przy którym zasiadły obie kobiety z robótkami. Można było powiedzieć, że oto — spokojny obrazek rodzinny. Niezadługo podadzą herbatę i suche bułki, potem Roman powie wszystkim „dobranoc", a stara pani Chmurska, całując go w czoło, upomni, by odmówił pacierz, o którym już coraz częściej zapominał.

Niespodziewanie rozmowa potrąciła o przyszłość Romana. Teraz temat ten był aktualniejszy, niż wówczas, gdy się spierano, gdzie go oddać: do korpusu kadetów, czy do gimnazjum. I ta rozmowa, potem już, po śmierci pułkownika, wydawała się znamienna, aczkolwiek w danej chwili była raczej pogawędką wieczorną, kiedy nic niema do roboty. Potem kiedyś stara babka miała powiedzieć do wnuka: „Widzisz, ojciec w ostatniej chwili był myślami z tobą. Zapamiętaj to sobie".

— Ja chciałbym zrobić z Romana dyplomatę — mówił pułkownik żywo, po raz trzeci wspominając dziś ten wyraz i mrugnąwszy znacząco na syna: — to najodpowiedniejszy zawód dla niego. Ale nie w Europie, gdzie zresztą nie byłoby ci się tak łatwo urządzić, mój mały Polaczku. Wschód, mój drogi, oto kraje, które powinny nęcić. Cóż ty na to, gdyby cię po skończeniu gimnazjum posłać do Petersburga na wydział wschodnich języków? Sam pobyt w tem mieście... Potem Persja albo Chiny czy Japonja, o których pewnie naczytałeś się dosyć. Pisaci chińscy, dżonki, Fudżijama... Będziesz podróżował, jak wuj Gabrjel.

Obie kobiety podniosły głowy na dźwięk tego imienia, ale on mówił dalej:

— Zwiedzisz najpiękniejsze kraje na świecie, poznasz inne i dziwne rasy ludzkie. Może zawędrujesz do Indyj. Czy jest coś bardziej tajemniczego od Indyj, co — Romanie? Sądzisz pewnie, że nie — prawda? Wschód jest rzeczywiście piękny i pociągający. Przekonasz się o tem, gdy wreszcie przyjedziesz do mnie na ten przeklęty Kaukaz, którego tak nienawidzi babcia — uśmiechnął się przekornie, patrząc na panią Chmurską. — A umiesz ty jakiś wiersz o Kaukazie? — spytał nagle.

Roman zamyślił się.

— Zdaje się, że nie umiem — powiedział, szukając w pamięci: — może jakiś rosyjski.

— Niestety, poeci nasi nie pisali o Kaukazie — rzekł pułkownik: — czy mama zna jaki wiersz Mickiewicza o Kaukazie?

— O Kaukazie? — spytała zdziwiona pani Chmurska: — Skądże? Mickiewicz nigdy nie był na Kaukazie. Jakżeż mógł pisać wiersze o nim?

— Nie był na Kaukazie — powtórzył pułkownik: — tak, niestety. Zato napisał wiersz „Do matki Polki", i babcia już napewno nauczyła go Romana. Ale jakiż ty znasz wiersz rosyjski o Kaukazie?

Roman drogą pewnych skojarzeń przypomniał sobie — i rozumiał, dlaczego przypomina — wiersz Lermontowa, który nosi tytuł „Sen". Właściwie, nie umiał go napamięć; przeczytał tylko kiedyś, prawdopodobnie wówczas, gdy otrzymał od ojca kindżały dagestańskie i sięgnął pod ich wrażeniem do poezyj Lermontowa. Nauczył się wówczas wiersza tego poety o kindżale, ale nie ten wiersz przyszedł mu teraz na pamięć, tylko tamten, odczytany przypadkiem i zapewne pobieżnie. I właściwie nic w tym wierszu o Kaukazie nie było, tylko słowo: „Dagestan". Mówił on o jakimś żołnierzu, który umierał z dymiącą w piersi raną, i o tem, że w tej samej chwili jego ukochana, gdzieś daleko, daleko miała sen, i w tym śnie widziała, jak znajomy trup leżał z dymiącą w piersi raną. Roman wzdrygnął się, przygarnął mocniej do ojca i powiedział:

— Nie znam żadnego wiersza o Kaukazie

Pułkownik podniósł się, przeszedł kilka kroków po pokoju, wrócił na poprzednie miejsce i stojąc zapytał:

—Jest jeden piękny wiersz Puszkina. Nie znasz go?

Odetchnął, jakby nabierając tchu, i począł recytować:

Kaukaz pode mną. Sam na wysokości
Stoję nad śniegiem u brzegu przepaści.
Orzeł, co wzniósł się z dalekiego szczytu,
Narówni ze mną zawisł nieruchomo.
Stąd, jak się rodzą potoki, oglądam,
I ruch najpierwszy widzę groźnych lawin...

Nagle rozrzucił ramiona, i z piersi jego dobył się okropny krzyk. Nie był to właściwie krzyk, tylko przeraźliwy chrap, jakby rzężenie okrutne, pełne męki; ostatni głos cierpienia, wydany przez człowieka na ziemi. W tem rzężeniu, o którem trudno powiedzieć, jak długo ono trwało, zamknął się wszystek strach śmierci człowieka konającego, cała groza przed nieznanem, które na niego czeka i wszystek żal za życiem, które mu ktoś nagle, niespodziewanie, niesprawiedliwie odbiera. Otwierała się przed nim ciemność, o której nic nie wiedział. Jego błędne oczy już ją oglądały, ale ostatnim wysiłkiem życia oglądały także rwące się, ginące, pomieszane i postrzępione obrazy świata, z którego wydzierała go w tej chwili czyjaś wola, czy też jakieś ostateczne, nieodwracalne prawo. Leciała przed nim w okropnym pędzie przerażona twarz żony i jej wyciągnięte, łamiące się ręce; wirowała twarz syna i jego postać, która się gięła, prężyła i rozdzierała pod natarciem wszystkich uczuć, jakich może doznać człowiek, co kocha, widząc tego, kogo kocha, ginącym bez ratunku: olbrzymiała w jego gasnących oczach twarz starej babki, która się wykrzywiła w nieprawdopodobnem, rozpaczliwem zdumieniu. Przeleciał przed nim pokój cały, hucząc i rozpadając się; zawirowała lampa wisząca, płomieniejąc i rozpalając się, jakby świat miała objąć ogniem; rzeczywistość zatrzęsła się wstrząsem, silniejszym od wybuchu wszystkich wulkanów świata. Pułkownik szarpnął się raz i drugi, wytężył ramiona, jakby pragnął chwycić kogoś, jakby się czegoś uczepić, w coś wedrzeć, czy też z czemś stoczyć walkę, i padł nawznak na kanapę. Jego nogi splątały się. Ostroga prawego buta pomknęła ostrą rysą po lakierze lewego. Głowa uderzyła o wałek kanapy i skrzywiła się na bok. Na zsiniałych wargach ukazała się lekka piana, i ucichnął z przymkniętemi oczami. Już nie słyszał i nie widział zamętu, jaki ogarnął trzy struchlałe osoby, które były bezsilnymi świadkami zgonu.

W jednem mgnieniu zjawił się doktór Czaplicki. Przywołała go panna Gertruda, która usłyszała przedśmiertny krzyk pułkownika, i z przytomności obcego, lecz głęboko współczującego człowieka, pobiegła jak mogła najprędzej po lekarza. Doktór Czaplicki, nie zdejmując palta, spiesząc się i potrącając kobiety, odsuwając nawet z łoskotem stół ze środka pokoju, jakby mu było za mało miejsca, podbiegł do pułkownika, rozciągniętego na kanapie, uniósł mu głowę i palcami prawej ręki otworzył półprzymknięte powieki. Na szkliste, nieruchome źrenice padło światło lampy. Doktór szepnął: „koniec", lecz jeszcze wyjął stetoskop, przyłożył do serca i słuchał. Jego gęsta, kędzierzawa czupryna zaciemniała nad rozwartą koszulą pułkownika, a twarz była pełna uwagi i skupienia. „Koniec" — powtórzył.

Roman, objęty przerażeniem, uciekł z pokoju.

Jerzy Wyszomirski

MARJA DĄBROWSKA

LISTY I PISMA ORZESZKOWEJ

Listy wielkich pisarzy mogą być niekiedy bezwiednem dziełem sztuki nie gorszem niż inne ich utwory, oficjalnie do literatury należące. Takiemi są, dajmy na to, listy Flaubert'a lub Słowackiego. Kiedyindziej stanowią przejmujący obraz epoki lub są wizerunkiem samych pisarzy jako ludzi danego miejsca i czasu. Czy przyczyniają się wtedy do lepszego zrozumienia ich dzieł? Z artystycznego punktu widzenia — myślę, że nie. Dzieła sztuki mogą być odczute, zrozumiane i ocenione w pełni, nawet gdy nic o ich twórcach nie wiemy. Przykładem — rzeźba i architektura starożytności, katedry gotyckie, wielka epika ludowa i t. d. *Iliada*, *Boska Komedja*, *Don Kichot*, *Hamlet*, *Dawid Coperfield*, *Wojna i Pokój* czy *Błogosławieństwo Ziemi* obiegły świat czytający, nim dowiedziano się czegokolwiek o autorach, a przynajmniej o większości autorów tych dzieł. Szczegóły, zawarte w listach i pamiętnikach, mogą rzucić wiele światła na pochodzenie i kształtowanie się różnych motywów artystycznych. Zaspokaja to naszą umysłową i uczuciową ciekawość, wzbogaca naszą wiedzę ogólną i jak wszystko co ją wzbogaca — jest potrzebne i pożyteczne. Do spotęgowania jednak przeżycia artystycznego rzeczy te nie przyczyniają się bynajmniej, czasem nawet utrudniają obcowanie z utworem, zaśmiecając je skojarzeniami ubocznej, często plotkarskiej natury.

Natomiast ów bezpośredni obraz epoki, zawarty w listach znakomitych pisarzy posiada bezcenne znaczenie. Bo wielki pisarz bywa zazwyczaj nie tylko twórcą wiekuistych wartości piękna. Bywa i przedstawicielską postacią swego czasu, bądź nawet — również wiekuistych i w każdym czasie powtarzających się — postaw ducha społecznych i moralnych. Z tego powodu jego życie, przygody, cierpienia i radości są dla narodu, czasem dla świata, źródłem wiedzy o samym sobie i sprawdzianem sądu o własnych dziejach duchowych. Źródłem nie mniej ważnem niż wszystkie inne dokumenty przeszłości.

Pierwszy tom listów Orzeszkowej¹) przynosi nam pod tym względem rzeczy niebywale ciekawe, tembardziej, że wydany jako „dwugłosy", zawiera też listy pisarzy tej miary, co Kraszewski, Jeż, Świętochowski, Reymont, Konopnicka, Bałucki, Krzemiński. Listy Orzeszkowej pozbawione piękna być, rzecz prosta, nie mogą. Ale jako artystkę, wsłuchaną i wpatrzoną w tajemnice życia lub zaprzątniętą problemami tworzenia dzieł sztuki widzimy ją tu stosunkowo niewiele. Występuje natomiast w całej pełni jako patrjotka, myślicielka i działaczka społeczna. Ten sam charakter posiada większość drukowanych tu listów do Orzeszkowej, z wyjątkiem chyba listów Konopnickiej, nieco bardziej kontemplacją artystyczną przepojonych, i listów Reymonta, odskakujących dosyć niekorzystnie od ogólnego wysokiego w tym zbiorze poziomu korespondencji. Z myśli snutych w „Dwugłosach" na temat życia własnego lub życia Polski uderzyły mnie szczególnie dwa rodzaje wynurzeń. Dotyczą one rzeczy, które zdawały się być związane tylko z ówczesnemi warunkami pracy i bytu naszych pisarzy, ale które okazują się niezwykle aktualne i w dzisiejszych warunkach.

Jednem z nich jest — odczuwane widać jako życiowa konieczność — podkreślanie duchowej niezależności wywnętrzających się pisarzy, ich przeciwstawianie się naporowi zaślepionych i krańcowych fanatyzmów przesądu czy doktryny. Pełno tego u Orzeszkowej, poza nią doskonale określa to stanowisko w jednym ze swych listów Kraszewski. „Europa — powiada — obawiając się socjalizmu, narzuca sobie wsteczność. Z jednej strony pod pozorem rozumnego konserwatyzmu i poczciwego patrjotyzmu ciśnie się fanatyzm średniowieczny i zacofanie, z drugiej — pod pozorem postępu narzuca się doktryny ledwo na to imię zasługujące, fantazje umysłów chorych, szaleństwa. Utrzymać spuściznę zdrowej cywilizacji, którą mieliśmy, a nie dać się spętać fanatyzmowi wstecznictwa... jest to zaprawdę wielkie a wielkie zadanie".

Drugi zastanawiający rodzaj wynurzeń mówi o nieuniknionej samotności, która z niezależnej postawy ducha wypływa. Co więcej, nietylko o samotności i niezrozumieniu, ale o życiu śród wrogości i niechęci otoczenia. Temu znów daje wyraz Świętochowski, pisząc do Orzeszkowej:

„...niepodobna dociągnąć jakiegoś niegrywanego i nieśpiewanego powszechnie tonu do właściwej miary, bo wywoła się ostry dysonans, o co mniejsza, ale i złe wrzaski na przedmiot czcigodny".

Tą ciągłą troską o „dociągnięcie tonu" do właściwej, wysokiej miary przepełnione było życie Orzeszkowej i tym ciągłym „złym wrzaskiem na przedmiot czcigodny", cichnącym tylko, by ustąpić milczeniu odpychającej niechęci — otoczona była przez większość pracowitych swych dni. Tak przynajmniej sądzić należy z listów tego tomu, gęsto przetkanych napomknieniami o tej smutnej oczywistości.

„Dałam — pisze w jednym z nich — narodowi memu rzeczy parę dobrych i te wpadły niby w otchłań, nikt nie odezwał się".

Orzeszkowa zastanawia się kilkakrotnie nad tem, co wywołuje wrogi lub obojętny stosunek społeczeństwa do jej pracy. I zawsze główną przyczynę znajduje w swojem służeniu „trzeciej prawdzie", tej, która nie biegnie ślepo ani na prawo ani na lewo, lecz dąży wgłąb i wzwyż. W tem, że jej credo życiowe brzmi: „...między dwoma krańcowemi frakcjami znajduje się trzecia... Ta godzi uczucia, uspokaja umysły i do wykonywania akrobatycznych skoków w przyszłość i przeszłość skłonność umniejsza".

Duchowe oblicze Orzeszkowej zawiera niewątpliwie i pierwiastki o charakterze przejściowym, właściwym jej czasom. Do tych należy wiara w bezwarunkową moralną wartość t. zw. postępu, racjonalizm pozytywistyczny i na bardziej domowym „odcinku" — wiara w możliwość i pożyteczność asymilacji mas żydowskich. Ale istotę jej natury stanowiły nie te czy inne, choćby najlepsze, hasła wieku, lecz ta prawdziwa wzniosłość ducha, która łaknie pogodzenia sprzeczności ludzkich przez dobrą wolę i miłość. Pisząc o konkursie *Kurjera Polskiego* na rozprawę: „Jaką jest najważniejsza wada narodu naszego", Orzeszkowa mówi, że „jedna rozprawa prawiła o braku miłości — i wedle mnie — trafiła w sedno... Inne wady są pochodne, ta jest pierwotna... U nas nikt nic i nikogo do dna duszy silnie stale nie kocha". W innym liście powiada: „Jest w naturze mojej jakiś składnik, który wzdraga się przed niezgodą, kłótnią, pogardą, nienawidzi nienawiści i pożąda braterstwa, pobłażliwości, harmonji"...

Niedolą pisarzy, którzy tak czują, jest, że pragnąc potakiwać i aprobować, muszą wciąż mówić — nie. Muszą wciąż przeciwstawiać się światu, świat bowiem szuka zwady. W zamęcie świata, służąc idei zgody, walczy się najtragiczniej, bo z obu walczącemi stronami. W myśl tej postawy duchowej Orzeszkowa boryka się zarówno z fanatyzmem nienawiści „ultramontanów", jak z niszczycielskim fanatyzmem radykalnych „prądów ze wschodu". Widzi i obnaża zarówno fanatyzm wyznaniowy, jak — podobnie zażarty — fanatyzm niewierzących, materjalistów i racjonalistów. Wystarcza jednak, że nie walczy pod znakiem żadnej partji, że przywiesza jej tylko miłość wolnego, twórczego człowieczeństwa, by jedni okrzyczeli ją za ugodową, drudzy — za... komunistkę.

„Jestem także podejrzewaną — pisze — świadczy o tem ów całun milczenia, którym okryto księgarsko-wydawnicze zamiary moje. Ktoś poważny i wiarogodny znać mi dawał, abym ostrożną była, usposobienie bowiem jest takie, że lada nic znaleźć może tłumaczenia najfatalniejsze. Najlepsi przyjaciele moi według dosadnego wyrażenia jednego z nich „objadać się" za mnie muszą. Za co? Dlaczego? Alboż wiem?... Cóż czynić z położeniem takiem? Ze łzami pochylić głowę przed tą wielką niedolą, cierpliwie przenieść zrodzoną z niej niesprawiedliwość, kochać wiernie, pracować i może... przekonać."

O stosunku do swych zacnych poczynań księgarsko-wydawniczych, które miały być placówką prawdziwie twórczej polskości na kresach, a zwalczane były przez tych, co się za bastjony polskości na ziemiach owych mają, pisała Orzeszkowa: „Rozchodzą się o nas wieści najpotworniejsze. Zrazu mówiono, żeśmy kupieni przez rząd i powstajemy w celu rusyfikacji, teraz po wyjściu pierwszej książki naszej mamy być nie rządowi już, ale socjaliści, godzący na porządek i spokój publiczny. Trzeba filozoficznie otrząsnąć z twarzy te bryzgi błota i jadu i iść dalej... Dowiedziawszy się, że przed dwoma miesiącami byłam rządowa, a teraz jestem socjalistka — śmiałam się z całego serca. Wyznaję jednak, że jeśli oszczerstwa te i brednie zabiją mi wydawnictwo, śmiać się nie będę". Nieprzebierające w środkach oszczerstwa te i brednie, a w końcu tajemnicze donosy, zabiły księgarnię i piękną akcję wydawniczą Orzeszkowej, zaś ją samą oddały pod nadzór policji i na pięć lat uczyniły więźniem Grodna, zaś na siedem — więźniem w granicach powiatu.

Nim to się stało, pisze Orzeszkowa po wydaniu książki Chmielowskiego „Zarys literatury": — „Nie krytykują ją, ale na nią wyją, a za jednym zachodem na jej wydawczynię". Spowodu swej własnej broszury „O Żydach i kwestji żydowskiej" powiada: „...Wiem, co po wyjściu jej nastąpi. Albo gromy i łajania od zdrajców i odstępców, albo grobowe milczenie". I czegoż mogła spodziewać się innego? Wszak miała odwagę powiedzieć, że ówczesne krwawe rozruchy antyżydowskie to nie akt, wyłącznie Żydów dotyczący, ale pierwszy objaw niewybrednego zdobywania wpływów przez reakcję moralną i społeczną. „—Żydzi — pisze do Jeża — pono to dobre ko na początek, *pour se faire la main, pour essayer* — nic więcej". Miała odwagę powiedzieć, że „co do win żydowskich... to prześladowania uczyniły Żydów jakimi są, prześladowania więc poprawić ich nie mogą". A w takim wypadku i wobec takich opinij pewna część Polaków woli raczej wyrzec się całej kultury polskiej i odżegnać się od największych jej twórców, niż pogodzić się z tem, co myślą oni o metodach walki, zrozumiałych jedynie pośród dziczy.

Po zamknięciu przez policję księgarni swej Orzeszkowa donosi Jeżowi: „Z Warszawy tylko Meyet i Chmielowski odważyli się do mnie napisać. Inni, ci którzy nawet często pisywali, umilkli. Jestem jakby odciętą od świata żyjących i najlżejszego pojęcia nie mam, czy to, co mnie spotkało, uczyniło jakiekolwiek wrażenie i jakie. Wogóle nie mogę poszczycić się, aby mię rodacy moi sympatją swą zbytnio obdarzali."

Osamotnienie to dało się wielkiej pisarce jeszcze bardziej we znaki, gdy pojechała do Krakowa. „...hr. Tarnowski — pisze do Jeża — oskarża nas, Świętochowskiego, Konopnicką i mnie o nic więcej tylko o renegację polityczną i o zdradę kraju. Zdaje się, że jest to zdanie większości inteligencji krakowskiej, bo bawiłam tam cały tydzień, a oprócz Bałuckiego i Belcikowskiego żaden z braci po piórze nie raczył mnie odwiedzić ani podać mi ręki z przyjaznym uściskiem. Co więcej, kiedy Belcikowski zaproponował, aby Koło Literackie zrobiło dla mnie przyjęcie takie jak zeszłej zimy dla Deotymy, powstała dyskusja silna i projekt upadł. Nie spodziewałam się i nie wymagałam niczego, nie byłam więc zawiedzioną; obłudną jednak byłabym, gdybym twierdziła, że tak energiczne objawiona niechęć rodaków i kolegów nie była mi bardzo, bardzo smutną".

Takiemi uczuciami częstowana, nic dziwnego, że Orzeszkowa w końcu pragnie „zasiąść gdzieś w cichym wiejskim kącie za światem i pracując ile sił jeszcze starczy, ta tylko pracą wiązać się z ludźmi, jaknajmniej ich widując".

Że taki stosunek dotykał nietylko Orzeszkowej, świadczy jej list do Jeża w sprawie projektu urządzenia w Warszawie jego jubileuszu.

„Sprawa jubileuszu Pana — pisze — choć to nie pięknie, we wściekłość mnie wprowadza. Jest Pan ekskomunikowany, dzieli Pan losy Józefa Supińskiego, do uczczenia którego nikt z ludzi rozsądnych Warszawy skłonić nie mógł. Niema na to rady. Są tam ludzie, którzyby Pana chętniej spalili niż uczcili i inni w większej liczbie, którzy wyznają dla Pana cześć należną, ale boją się tamtych".

Tak to było, tak to bywa i dzisiaj. A jednak i w tej rzeczy istnieje drugie oblicze, inna strona medalu. To, co spotykało Orzeszkową, spotykało zawsze i wszędzie pisarzy, posiadających oprócz talentu jakąś postawę moralną i jakiś pogląd na świat, a więc wszystkich prawie pisarzy większej miary. Nie wybacza się z łatwością wyrastania nad poziom na tym świecie. Powszechnym aplauzem cieszą się tylko ci, co jak Sienkiewicz prześlizgują się nad tragizmem zagadnień, dla których wszystko jest najlepsze na tym najlepszym ze światów i dla których, jak znów dla Sienkiewicza, nawet religja jest tylko mniej lub więcej emocjonującym ornamentem. Pomijając liczne, od prawieka ciągnące się przykłady niesprawiedliwości lub nienawiści, dotykającej wielkich duchem przedstawicieli człowieczeństwa, dość znajdziemy ich w ostatniem stuleciu. Wszak niezależność duchową, tak mało wdającego się w sprawy bieżące Conrada, socjaliści osądzili jako służbę kapitalistom, a jego dziwne, tragiczne i powikłane losy — narodowcy — jako zdradę kraju.

Dodajmy, że sami wielcy pisarze też bywali krzywdzący i niesprawiedliwi wobec innych znakomitych twórców. Dość przypomnieć stosunki Słowackiego i Mickiewicza. I Orzeszkowa była krzywdzącą wobec tegoż Conrada, z którym obeszła się wręcz nielitościwie. O zamieszczonym w „Dwugłosach", a nadającym się chyba do niewybrednej brukowej gazetki sądzie Reymonta o Żeromskim prawie wspominać nie warto.

Zauważyć trzeba i to, że pisarz cierpi bardziej od wypadków niesprawiedliwości czy niechęci ogółu, niż cieszy się spowodu objawów uznania i miłości. Te bowiem odczuwa jako naturalny stan zespolenia się z ludźmi w sztuce, tamte — jako stan pewnego rodzaju choroby duchowej, zatruwającej życie.

Zresztą osamotnienie Orzeszkowej czy innych jej podobnych twórców bywa tylko czysto życiowe i zewnętrzne. W głębszem, niejako metafizycznem znaczeniu samotni oni nie są i być nie mogą. Zawsze czują się zespoleni z tem, co w ludzkości i we wszechświecie najdostojniejsze, najlepsze i co tylko przez dziwną życia omyłność zapoznawane lub odpychane być musi. Dlatego też i żyć mogą, mimo tak zdawałoby się trudne do zniesienia oszczerstwa i zniewagi. I mimo, że pozostaje im tylko krzepić się, często przez Orzeszkową powtarzanemi słowami: — *Fais ce que dois, advient ce que pourra*. I słowami, nakazującemi „kochać wiernie, pracować"...

Ale i w życiowem znaczeniu osamotnienie Orzeszkowej nie było zupełne. Nie brakło jej przyjaciół i wielbicieli, a niepospolita wartość artystyczna jej dzieł zjednywała napewno serca i wyobraźnie nawet śród ideowych przeciwników. Kochały i czytywały ją rzesze wcale pokaźne, zarówno śród inteligencji miejskiej, jak i po lepszych dworach i dworkach wiejskich, tych, które zdołały w pełni ocenić oderwanie się jej ziemianki od starego ducha szlachetczyzny.

Jaki będzie stosunek narodu do Orzeszkowej dziś, pokaże to przyjęcie nowego wydania jej „Pism", podjętego przez firmę Gebethnera i Wolffa pod redakcją Aurelego Drogoszewskiego i L. B. Świderskiego. Że liczba ludzi, których razić będzie jej demokratyczna, humanitarna i nawskroś chrześcijańska postawa duchowa, nie zmalała, lecz znakomicie się powiększyła, to pewna. Że jednak śród moralnego zamętu, w którym wszystko, co było po wiek wieków cnotą i prawością, mianuje się zbrodnią, a zło i przemoc wynoszone są do godności zasługi, że w takich czasach rośnie pocichu rzesza ludzi spragnionych czystości i piękna duchowego, to też jest faktem niewątpliwym. A tej niepodejrzanej piękności w najprzedniejszych utworach Orzeszkowej znajdziemy zdrój nieprzebrany i z którego za mało, wiele za mało piło się dotąd w Polsce. Przytem, obok zblazowanego i przerafinowanego grona czytelników z t. zw. elity, sięga dziś prędzej do skarbca kultury nowy czytelnik, nie zatruty jeszcze spaczonemi pojęciami epoki — chłop i robotnik. Ta sfera będzie napewno i nadewszystko

¹) Eliza Orzeszkowa: Dwugłosy. Nakładem Tow. Im. Orzeszkowej oraz Inst. Wydawn. „Biblioteka Polska". Warszawa—Grodno. 1937 r.

HALINA GÓRSKA

SKONFISKOWANO

wrażliwa na moralne i społeczne pierwiastki pism Orzeszkowej, a w miarę rozczytywania się wchłonie napewno także ich niepowszednią wartość artystyczną.

Wydanie pism Orzeszkowej zdaje mi się wielką zasługą dla kultury polskiej jeszcze z jednego powodu. Przywraca ono mianowicie naszej pamięci postać i dzieło, wyrosłe z najlepszych tradycyj ducha narodowego, tak dziś zamąconego mitami ze wschodu i zachodu, usiłującemi odczłowieczyć życie ludzkości. Z tych manowców po cudzych drogach trzeba nam wrócić do Polski. Do tej prawdziwej Polski, której się wiecznie wypieramy, choć tylko z wyboru między jej tradycjami wysnuć moglibyśmy wartości, zabezpieczające nas przed stoczeniem się do rzędu kolonji duchowej Niemiec lub Rosji. Źródła tej rzetelnie polskiej kultury są skromne i niepozorne w porównaniu z temi, jakiemi biły zawsze inne, przodujące w cywilizacji kraje. Lecz, mówiac słowami listu Konopnickiej do Orzeszkowej, „takiem jest każde źródło" — i byle go nie zasypać — najmniej pokaźne potężną może stać się rzeką. Oby pisma Orzeszkowej stały się początkiem *katharsis* z obcych złych wpływów nas oczyszczającego, tomy tych pism — kamieniami wiorstowemi drogi do Polski, a ich źródlana rodzima treść — wodą żywiącą naród, idący w nieznane jutro.

Marja Dąbrowska

LECH PIWOWAR

PIEŚŃ DO BOCIANA

Ogród jak zegar w męskiej piersi miasta.
Poczekaj, wybije godzina, wybiegniemy w zieleń.
Bardzo ruchliwy dzień nastał,
mój klekoczący aniele.

Wisisz dzwonem rozpaczy na czterdziestem piętrze,
o niewierny, uczuwasz tylko strach o d d o ł u.
prawa gwiazd cię straszą, nie niebo!

Krążą planety w ulicach, kiedy patrzeć zgóry.
Każdy tramwaj w nieznane wybiega jak Kolumb.
Uciekać niewesoło i patrzeć niewesoło.
I wśród szyn prowadzących motory są rzeczy najświętsze,
są mgławice, jest siła, która śpiewa z chmury,
i garsteczka popiołu.

Lecz w węzłach, któremi drga życie, nie ten
jest dziś aniołem, co brodzi w studniach jak święty.
Nie tak się szuka człowieka i nie tak się walczy
o szczęście bardziej nowe i o uśmiech trwalszy.

Jak iskra, która wyrusza z warsztatu,
aby na mlecznych drogach rozświecać plakaty tęsknot,
wejdziemy kiedyś w miasto, w widownię teatru
opasanego natchnieniem jak dyrygent orkiestra.

Nie żżymaj się, to są kamienie i stal, nie mary.
Ogrody uwieszone u warg nie tak daleko.
Przecież bez ustanku biją w piersiach zegary.

Ja tylko słyszę bociana klekot.

KAZIMIERA MUSZAŁÓWNA

ANTYSEMITYZM — WRÓG POLSKI

Popełniliśmy błąd — my, przeciwnicy antysemityzmu. Powtarzaliśmy ten błąd nieustannie, przez wszystkie ubiegłe lata ostatniego kryzysu, kiedy propaganda antysemityzmu z każdym dniem stawała się coraz bardziej dzika i nieludzka, życie nasze społeczne i ...narodowe piętnując rozlicznemi znakami barbarzyństwa i szkód moralnych. Powtarzaliśmy przez te lata błąd — milczenia.

Wydawało się: czy warto walczyć z argumentami niepowszedniej głupoty, do jakiej uciekał się antysemityzm? Czy nie szkoda pióra i słów na wytykanie oczywistych kłamstw? Czy jest sens walczyć z antysemityzmem, który jest sztucznym nalotem, nieodzownym akcentem trudności ustrojowych, w jakich żyjemy, skoro ważniejszą jest sprawa walki o zmianę samych warunków naszego życia społecznego poprzez redukowanie aż do usunięcia tych nierówności i krzywd ekonomicznych, w których filtruje się osad antysemityzmu?

To stanowisko było błędne. W ciągu paru lat ostatnich propaganda antysemityzmu rozhuśtała wysoką falę barbarzyństwa. Jesteśmy właśnie dziś na samym jej grzbiecie, tak wysokim i tak spienionym, że w jej zalewie inne sprawy wydają się być drugorzędnej roli. Podcięcie, złamanie tej wysokiej fali staje się zagadnieniem najpilniejszem, kwestją godności polskiej kultury.

Rzadkie, dorywcze głosy przedstawicieli polskiego społeczeństwa, przeciwstawiające się wściekłym atakom antysemityzmu, miały charakter raczej fragmentaryczny, wymierzone były przeciwko zbrodniom, gwałtom i chuligaństwu antysemitów, raczej nie podważając samej zasady antysemityzmu. W poszukiwaniu przyczyn — nierzadko znajdywano usprawiedliwienie dla antysemityzmu i zamiast negować istotę zamierzchłego zjawiska „nieprzełamanej obcości" człowieka do człowieka, szukano łagodnych form pozbycia się Żydów. I nawet najpiękniejsze, najbardziej humanitarne, oparte o wysoką etykę współżycia społecznego, wyprowadzone z głębokiego poczucia godności współczesnej kultury, wypowiedzi czołowych w Polsce umysłów mają charakter raczej deklaratywny, niż walczący. Są raczej deklaracją praw człowieka w Polsce dwudziestego wieku, aniżeli punktami walki obliczonej na zwycięstwo, włożonej w system obrony i ataku na zdradę narodowa, jaką jest szalejący w latach ostatnich antysemityzm.

Czy nie było w nas trochę lekceważenia dla antysemityzmu? Czy nie odczuwaliśmy wstydu na myśl, że trzeba wyprowadzać piórem argumenty o godności każdego człowieka, o utartych szlakach humanitarnego współżycia, o chrześcijańskiej zasadzie miłości bliźniego, o zbrodni żółtych łat, oddzielonych ławek, kastetów i łomów? Czy nie sądziliśmy, że są to sprawy załatwione oddawna, że anachronizmem jest wracać do nich raz jeszcze?

W istocie wiedzieliśmy przecież, że wszystkie aspekty antysemityzmu, wszystkie jego hasła i sens wszelki zbiegały się zawsze w jednym kierunku, wymierzone były w jeden cel — sukces polityczny obozu reakcji. Rozbudowa „ideologji" antysemickiej na boczne tory — rasizmu, odrębności kultur, obcości psychicznej, wrogości religiancko-wyznaniowych — stanowi jedynie melodję dla głównego tonu politycznego stanowi jedynie środki działania, któremi wpływ na masy zdobyć pragnie polityczny obóz wstecznictwa, egoizmu klasowego, utrzymania swoich przywilejów za wszelką cenę, za cenę upustu krwi żydowskiej, moralnego skalpu Żydów, i także — za cenę nieumniejszanej nędzy mas polskich.

Nawet ten najsilniejszy w propagandzie antysemickiej motyw ekonomiczny, streszczający się w niewymyślnej koncepcji „stragany polskie zamiast straganów żydowskich", jest również przygrywką do celu politycznego. Antysemityzm w istocie swej stanowi nagonkę, która schwytać ma zwolenników dla ginącego obozu endecji. Człowiek ciemny, analfabeta polityczny, a przedewszystkiem człowiek znużony nędzą, zdezorjentowany długotrwałem bezrobociem, może uwierzyć w bezmyślne twierdzenie, że na miejsce stu wyrzuconych z pracy żydowskich robotników wskoczy stu „rdzennych" Polaków i że ta zamiana, zastosowana do wszystkich Żydów w Polsce, przyniesie szczęśliwe zakończenie kryzysu, usunie wszelkie trudności ekonomiczne naszego życia.

Kłamliwość tego argumentu równa jest szkodliwej głupocie jego autorów. Nie wdając się w szczegóły, czyż nie wystarczy powiedzieć, że bezrobocie w Polsce obliczane jest na około siedmiu miljonów ludzi, podczas gdy Żydów mamy niewiele ponad trzy miljony? Czyż nie wystarczy wskazać, że usunięcie z rynku trzech miljonów konsumentów zaważy na rozmiarach produkcji? Czyż nie dość powiedzieć, że zamiana fabrykantów, straganiarzy, pośredników handlowych żydowskich na polskich nie umniejszy w niczem wyzysku, nie usunie konfliktów ekonomicznych, wynikających z wadliwości ustroju, w którym żyjemy?

„Ideolodzy" antysemityzmu zdają sobie sprawę z kłamliwości swoich argumentów. Ale ideolodzy ci są jedynie forpocztą politycznego obozu endecji i ryzykują kłamliwość dowodzeń dla celu doraźnego zysku — zdobycia władzy politycznej. Sprzyja im niski stan oświaty w szerokich masach, głęboka nędza — zapora wszelkiego wyrastania kulturalnego i cywilizacyjnego, brak elementarnej wiedzy ekonomicznej.

Antysemityzm jest sprawą przedewszystkiem, jeśli nie wyłącznie, polityczną. Tem się tłumaczy ogrom wysiłków, wkładanych weń przez wiadomy obóz polityczny, kosztowność tej propagandy, jej nieustępliwość, jej działanie zapomocą wszelkich dozwolonych i niedozwolonych środków.

Tak rozumując, sądziliśmy, że walka ze zjawiskiem antysemityzmu, który jest jedynie fragmentem szerszego zagadnienia — sprawy ustroju, warunków, w jakich żyjemy, a wreszcie — terenem politycznej rozgrywki, musi być prowadzona przedewszystkiem pod kątem widzenia tych zagadnień głównych. To stanowisko nadal jest jedynie słuszne, z tą wszakże poprawka, że nadmierne wybicie się fali antysemityzmu zmusza nas do wzmożonej dla tej sprawy czujności, do wystąpień energicznych, do mobilizacji naszych sił.

Zmuszają nas do tego nietylko względy humanitarne i etyczne, ale i względy polityczne, troska o rzeczywistą kulturę naszego kraju, o godność naszego życia społecznego, o — Polskę jutrzejszego dnia. Fala antysemityzmu zalewa nas zbyt wysoko, w tym zalewie zatonąć mogą wszystkie nasze wysiłki przemiany dzisiejszych form życia, zginąć może prawo wolnej myśli. Antysemityzm jest bowiem sługą tej myśli politycznej, która nazywa się — reakcją.

W wyniku sukcesów propagandowych antysemityzmu znaleźliśmy się dziś w punkcie niebezpiecznym. Czyż nie jest tak, że przeciwników antysemityzmu wiadomy obóz polityczny denuncjuje jako komunistów? Wstrętny język agitatorów endecko-klerykalnych sprzymierzył przecież w jedno pojęcie „żydo-komuny" dwa zjawiska, bynajmniej nie z jednego pnia pojęć pochodzące.

I czyż nie jest przerażający i alarmujący zarazem ten fakt, że skłonni jesteśmy dopatrywać się aktu odwagi cywilnej w każdej wypowiedzi „rdzennego" Polaka, padającej publicznie w obronie Żydów? —

Aczkolwiek przeciwnicy antysemickich teoryj nie występują jedynie w obronie Żydów. Większa bowiem sprawa wiąże się z temi wystąpieniami — obrona Polski: naszych humanitarnych i wolnościowych tradycyj, godności narodu i kultury polskiej, a wreszcie koncepcji naszego życia społecznego i politycznego.

Przedstawiciele kościoła katolickiego w roli antysemitów — to zjawisko specjalne, zarazem bolesne i gorzko humorystyczne. Jak godzą oni to paradoksalne przymierze antysemityzmu z przykazaniami Chrystusa, to temat godny specjalnego omówienia. Jedno wydaje się jasne bez dłuższych motywacyj: propaganda antysemityzmu w świetle nauki Chrystusa jest niewątpliwym objawem zaprzeczenia tej nauki, jest propagandą bezbożnictwa. Że nikt dotąd w sferze przedstawicieli duchownych kościoła katolickiego, jak Polska długa i szeroka, nie zabrał głosu przeciwko hasłom antysemityzmu, to doprawdy szczególny dowód upadku ideałów niebieskich.

Ale wróćmy do sprawy antysemityzmu, jako wroga Polski.

Antysemityzm żeruje na ciemnocie i wielorakim analfabetyzmie mas. Nietylko. Jest rzecznikiem, obrońcą i propagatorem ciemnoty. W tej roli występuje na wszystkich terenach swoich wpływów, a przedewszystkiem na terenie akademickim. Młodym głowom wmawia, że eliminacja Żydów zlikwiduje wszystkie trudności wewnętrzne naszego życia społecznego. Pocóż szukać żmudnie, ciężkim trudem myślenia, rozwiązań w dzisiejszych niemocach ekonomicznych, pocóż wysilać się na budowanie nowych teoryj, na koncypowanie nowej rzeczywistości, kiedy jest gotowa, radykalna i uniwersalna recepta: wyrzucić Żydów.

Kult lenistwa myśli, tak szkodliwy dla niełatwej rzeczywistości polskiej, uzupełnić ma według tej samej recepty kult szukania rozstrzygnięć i słuszności na drodze przemocy fizycznej. Barbarzyńska racja pięści występuje jako sankcjonowany czynnik decyzji w wewnętrznych naszych sprawach społecznych. Chamstwo moralne — zamiast humanitarnych zasad, które są najwyższem osiągnięciem człowieka w regulowania spraw międzyludzkich

Antysemityzm szczepi naszej młodzieży kompleks niższości. Z hałasem okrzykuje, że Żydzi są zdolniejsi, pracowitsi, bardziej wytrzymali, więcej uparci w dążeniu do postawionych celów, że przeto w skrzyżowaniu wysiłków rdzenni Polacy muszą przegrać, chyba że ...pomogą sobie pięścią, kastetem, łomem. Jak szkodliwe jest formowanie takiego kompleksu niższości w młodzieży polskiej wobec czekających ją ciężkich zadań przyszłości — dowodzić nie trzeba.

Oto są niektóre znaki szczególne, pod jakiemi występują antysemici w urojonej obronie dobra narodu i państwa polskiego. A przecież znaki te biją właśnie w godność polskiego narodu, w wysokie imię jego kultury, są zdradą naszych tradycyj i wrogiem lepszego jutra Polski.

FAUSTYN TEA-GAWIŃSKI

SKONFISKOWANO

Halina Górska

SKONFISKOWANO

Faustyn Tea-Gawiński

STEFAN ŁĘCZYC

WARSZAWA

Z mostu wysuwał się księżyc i mrużył jak szpicel oczy.
W bramie znikał przechodzień, z twarzą ukrytą w kołnierzu,
Od stepów idący wicher, na mroźnych dziedzińcach nocy,
szarpał wzgardzoną mowę i rzucał pod nogi żołnierzom.

Gdy nieba krwawiły się łuną eksplodujących brzasków,
przez mury przebijał odgłos zmienionej musztry i haseł.
Płonęły liście na wiosnę i buta w szpiczastym kasku.
Historja jeździła pod ławką wagonów czwartej klasy.

W amarantowych flagach trzepotał potem listopad.
Na Marszałkowskiej się zjawił pan z maciejówką na głowie,
i barwny szwadron konnicy i młody od morza wiatr...
— Komuś ty wtedy zaufał — w tłumie biegnący — powiedz?!

Szpiclowskie domki drańswa i łazamackie podwórza
Cegły niezagojone przejściowych pasaży dziejów.
Pod arogancką fasadą krzywda w sińcach i guzach.
Auta przewożą z zaprawy skoszarowaną nadzieję.

ZOFJA LISSA

SZYMANOWSKI

W chwili śmierci człowieka wielkiego zmienia się zasadniczo stosunek społeczeństwa do niego i jego dzieła. Między zmarłym twórcą a tymi wszystkimi, z którymi doniedawna współistniał i współżył, powstaje dystans; dystans, jaki zawsze istnieje między tem, co się skończyło, zamknęło w sobie, a tem, co trwa i staje się nadal. Zmarły twórca przestaje być człowiekiem, a staje się „faktem historycznym". Na innej skali wartości zaczynamy mierzyć to, czego dokonał. Doniedawna wprzągnięty w codzienność, która nas wszystkich pożera, doniedawna jeden z ciężarków na wadze naszych losów, mogący przeważyć szalę w tę lub ową stronę — teraz mit mierzony już pod aspektem wieczności. To, co stworzył, przestaje być wyrazem człowieka, prawie takiego jak my, przestaje być sublimacją cierpień, które i my znamy, radości, których i my doznajemy. Staje się „dobrem kulturalnem", „wartością historyczną".

To wszystko podnosi zmarłego człowieka na piedestał, na którym nie stał za życia. Człowiek staje się mitem, ale jego dzieło zaczyna dopiero żyć nowem życiem. Oderwane od gorącego, bijącego serca człowieczego, staje się czemś niezmiennem, gotowem, zamkniętem śmiercią swego twórcy. Staje się zaokrąglonem ogniwem w nieskończonym łańcuchu historycznego stawania się. I wtedy dopiero wszyscy jednomyślnie chyla głowy przed człowiekiem, który odszedł. Bo taki jest już los wielkiego człowieka, że musi umrzeć, aby go wszyscy uznali wielkim; musi umrzeć, by mu przestali rzucać kalumnje na głowę, a kłody pod nogi; musi umrzeć, by uznali czystość jego intencji. Nie dlatego, że *de mortuis nil nisi bene*, ale dlatego, że nikomu już nie może przerość nad głowę, nikogo przytłoczyć swoją wielkością, zawstydzić wzniosłością, nikomu nie grozi zamknięciem dostępu do pełnego koryta. Tak, musi umrzeć by ci, którzy pozwalali mu ciężko żyć i ciężko umierać, urządzali akademje i budowali pomniki, by ci, którzy od lat nie interesowali się, czy żyje i jak żyje, teraz pisali o nim błyskotliwe artykuły, udając bliskich przyjaciół, by ci, którzy go nigdy nie rozumieli, teraz z miną skupioną podchodzili do jego dzieł. Tak, musi umrzeć.

Karol Szymanowski umarł. I z tą chwila stał się historją, etapem rozwojowym muzyki polskiej, bohaterem narodowym dla całego społeczeństwa.

Ale tym etapem i to przełomowym był on już oddawna. Jak przed stu laty Chopin, tak w naszej dobie Szymanowski był tym, który muzykę polską wywiódł na arenę świata i wywiódł ją jako *specyficznie polską* muzykę. Jednak o ileż trudniejsze były wewnętrzne warunki, w których przyszło to uczynić Szymanowskiemu, w porównaniu z temi, w których tworzył i podbijał świat Chopin. Obaj mają bowiem jedną wspólną cechę, która jednemu ułatwiała, a drugiemu utrudniała porozumienie ze światem: typowo słowiański stosunek do muzyki, jako do sztuki *wyrazu*, w której w sposób najistotniejszy i zarazem najbardziej nieuchwytny znajduje swój wyraz *życie wewnętrzne człowieka*. Ale podczas gdy Chopin tworzył w chwili, w której taka subjektywistyczna postawa wobec muzyki była *ogólną* postawą jego epoki, to Szymanowski, przynosząc na świat takie dziedzictwo krwi, miał do stoczenia ciężką walkę: walkę między swą indywidualną i indywidualistyczną postawą a tendencjami naszej epoki, która swym antyromantycznem, antysubjektywnem, świeżo muzykanckiem nastawieniem przekreślała skłonności Szymanowskiego. Bo Szymanowski był z ducha romantykiem, mimo że rozumowo odgraniczał się od romantyzmu, uważał go za „drzwi otwarte, do których się niepotrzebnie już kołacze". Romantykiem był w swej potrzebie wyrażenia *siebie* poprzez swą muzykę i tą potrzebą wyróżniał się na tle naszej epoki. Początek XX wieku, na który przypada pierwszy etap jego twórczości, to jeszcze wydźwięki impresjonizmu muzycznego, to początek ekspresjonistycznych nastawień, na których tle indywidualistyczna postawa Szymanowskiego może się rozwinąć w zgodzie ze swą własną linją. Chopinowski liryzm, ekstatyczność egocentrycznej muzyki Skrjabina, trochę tylko modelowane wpływami klasycystycznego Brahmsa — oto wytyczne pierwszej fazy twórczości Szymanowskiego. Na ten okres przypadają liryczne w swym charakterze *Preludja*, *Warjacje*, *Etudy*, *Sonata c-moll*, *Pieśni*. Ale już wkrótce opanowuje Szymanowski te cechy swej psychiki twórczej. Zaczynają go pociągać zagadnienia polifonicznej konstrukcji, monumentalnej formy i znajdują swój wyraz w *I i II Symfonji*, w trzech *Sonatach fortepianowych*, w dalszych *Pieśniach*, w *I Koncercie skrzypcowym*. Poczucie związku ze swoją epoką, odpowiedzialności historyczna i społeczna, którą Szymanowski świadomie brał na swe barki, kazały mu jednak szukać dalej. Szukać wbrew swym instynktom, po linji nakazów intelektu nawiązać do języka, którym przemawiała jego generacja. Konsekwencją tego jest okres atonalnych zainteresowań i studjów, które dochodzą do głosu w *III Symfonji*, w *Pieśniach Muezzina*, w *Mitach skrzypcowych* i *Maskach fortepianowych*, w *Słopiewniach*, a po części i w *Królu Rogerze*. Ale i to stadjum jest etapem. Następuje zetknięcie się Szymanowskiego z muzyką ludową, podhalańską, skutkiem czego kompozytor upraszcza swój dotychczasowy styl monumentalny, kondensuje formy dźwiękowego wyrazu, poddaje je dyscyplinie, płynącej z dojrzałości wewnętrznej. W przepięknych *Mazurkach*, w *Stabat Mater*, kompozycji nawskroś uduchowionej, w *II Koncercie skrzypcowym*, w *Rymach dziecięcych*, w *IV Symfonji koncertującej*, a na wszystko w *Harnasiach*, balecie osnutym na motywach podhalańskich, który zdobył kompozytorowi uznanie Europy, w tych wszystkich kompozycjach przejawia się ten nowy, niestety, ostatni etap rozwojowy Szymanowskiego. Czy — gdyby nie przedwczesna śmierć — i ten etap nie byłby tylko przejściowy, wynikły z intelektualnego zainteresowania się twórcy niesłychanie oryginalnym, samorodnym materjałem melodyki podhalańskiej — niewiadomo.

Niewiadomo dokądby jeszcze zawiodła droga Szymanowskiego, który wyszedłszy od „Młodej Polski" dotarł aż do „moderny" europejskiej. Wszystkich swych towarzyszy z „Młodej Polski" zostawił Szymanowski daleko poza sobą. Karłowicza zmiotła przed ćwierćwieczem lawina tatrzańska, Fitelberg i Szeluto zamilkli sami. Różycki pozostał wierny ideałom Straussowskiego neoromantyzmu. Jeden Szymanowski poszedł dalej. To „dalej" polegało na walce o pogodzenie dwu trudnych spraw: własnego, lirycznego, romantycznego nastawienia z antyromantyczną postawą epoki. Na tej trudnej drodze kształtował się styl Szymanowskiego. Czy dotarł do syntezy? W każdym razie zatrzymał się niedaleko tego punktu, na którym znajdują się dwaj, najbardziej dziś w przyszłość wskazujący kompozytorzy: Strawiński i Bartók. Mówiąc językiem Norwida, zatrzymał się na drodze, na której „ludowe podniósł do ludzkiego". Nie znaczy to, jakoby jakiekolwiek właściwości stylistyczne wiązały muzykę Szymanowskiego z muzyką tamtych dwu kompozytorów, nawskróś antyromantycznych i współczesnych. Wiąże go z nimi tylko sięgnięcie do pierwiastków ludowych, masowych, w ich najbardziej surowej, własnej formie i przetransponowanie tych elementów na język współczesny, ale różni i dzieli go droga, którą odbył aż do tego punktu, różni go jego własna postawa wobec spraw rzeczywistości współczesnej, postawa, usiłująca powiązać fikcję „wolnego człowieka" ze społeczną świadomością artysty. Oto własne słowa Szymanowskiego, w których daje on tym zagadnieniom wyraz:

„Bez względu na to, jakie kształty przybiera dzisiaj rzeczywistość historyczna, w jakikolwiek sposób ukształtowałaby się idea zbiorowości w stosunku do jednostki, na jakichkolwiek polach toczyłaby się walka o ideały polityczne i społeczne, *człowiek wolny* jest wielkością stałą i niezmienną, jest owem jedynem *x*, bez którego równanie historyczne nie mogłoby być rozwiązane... Jeśli sztuka zajęła dzisiaj inne, niż przed pół wiekiem stanowisko w stosunku do zasadniczego swego problemu... to rzecz zupełnie zrozumiała, bowiem artyści dzisiejsi są niejako uwolnieni od obowiązku brania udziału w bezpośredniem „stawaniu się" dziejów. Zadaniem ich — biorąc rzecz idealnie — jest znów tworzenie wartości *sub speciae aeternitatis*, o ponadepokowem znaczeniu — tak właśnie jak to czynili niegdyś Bach i Mozart, z tą tylko różnicą, iż tamci ofiarowali je Panu Bogu, następnie różnym kurfürstom i kajserom, my zaś, dzisiejsi, winniśmy oddać te, w krwawym trudzie zdobyte przez nas wartości, ludzkiej społeczności. Ten moment, t. j. odpowiedzialność twórczego artysty wobec zbiorowości, pojawia się nam w zupełnie innem świetle: odpada naiwny arystokratyzm przełomowej epoki, wyrażony w haśle „sztuka dla sztuki", odpada również sentymentalnie społeczna filantropja estetycznych wzruszeń, zastosowanych do możliwości odczucia t. zw. „maluczkich" — pozostaje niezłomny obowiązek wykuwania w twardym, opornym materjale rzeczywistości jej najgłębszych, niezniszczalnych wartości. Rozwiązanie tego estetycznego zagadnienia na płaszczyźnie bezwzględnej wolności tworzenia jest osobistą sprawą sumienia każdej twórczej jednostki. To, co jest niezdolne do przetrwania burz i wichrów, nietrwałe, ułomne, zmiecie bezlitośnie fala wciąż nanowo kształtującego się życia; to, co w zasadzie niezniszczalne, organicznie związane z samym rdzeniem bytu, taż sama fala wyniesie ku wyżynom *trwania*. Mój niezniszczalny optymizm w tej dziedzinie tkwi — być może — jako pewnik psychologiczny w tym niezaprzeczonym dziejowym fakcie, iż niegdyś w teatrze Diogenesa *cała niemal ludność Aten* słuchała w najgłębszem skupieniu „Orestei" lub „Króla Edypa". Czyż owa najpiękniejsza wizja przyszłości nie jest czemś, co nam właśnie, artystom dzisiejszym, powinno przyświecać, jako daleki do osiągnięcia, najszczytniejszy jednak ideał? ...Niesłychana rozmaitość i nowość narzucających się z dnia na dzień zagadnień nie pozwala jeszcze na znalezienie pewnej, nieomylnej drogi, prowadzącej do przyszłości, jeżeli zaś dziś owo zupełnie świadome, uparte, fanatyczne niemal poszukiwanie nowych idej, form, środków wyrazu, zajmuje tak wiele miejsca w życiu opinji artystycznej, to jest to tylko niezbitym dowodem konieczności nowego ustosunkowania się do rzeczywistości, dowodem *żywotności* sprawy. Żywotność ta zaś jest tylko wówczas niewątpliwa, gdy bije ze źródła „powszechności", a nie z indywidualnej samowoli. (K. Szymanowski: Romantyzm w muzyce. „Droga", r. 1929).

Karol Szymanowski, który w głębokiem poczuciu społecznej odpowiedzialności artysty wypowiedział przed laty powyższe słowa, umarł. Talent swój wziął ze sobą do grobu. Ale swe poczucie odpowiedzialności za każdy krok, za każdy czyn — jedyna forma, w której dał wyraz docierającej i na wyżyny jego Olimpu problematyce społecznej — zostawił w dziedzictwie młodszym. Jedyne dziedzictwo, które mógł zostawić. Czy młodzi je podejmą? To już sprawa ich sumienia i ich siły duchowej. Bo dopiero talent, intelekt i charakter razem czynią z twórczego człowieka — wielkiego twórcę.

PRZYPOMNIENIA

PIERWSZE ŚWIĘTO MAJOWE W POLSCE[1]

Na wieść o przebiegu pierwszego święta majowego w Warszawie i we Lwowie, „Przedświt“ pisał: „Dla nas, dla socjalistów polskich, dzień ten jest nietylko tryumfem, ale niejako narodzinami nowego życia“. Nie było to przesadą: święto majowe zarówno w zaborze rosyjskim, jak austrjackim dało początek wspaniałemu rozwojowi masowego ruchu robotniczego. Święto majowe u nas oznaczało weselne gody socjalizmu z masą robotniczą, nierozerwalne ich śluby na dobrą i złą dolę. Uprzednia długoletnia propaganda i agitacja przygotowały grunt i hojnie rozsiały ziarna, które teraz plon poczęły dawać.

Emigracja socjalistyczna w celu zorganizowania obchodu majowego wysłała do kraju dwóch emisarjuszów. Do Lwowa udał się Stanisław Kasjusz, do Warszawy — Staniław Padlewski. Należy im kilka słów poświęcić.

O pierwszym pisze Daszyński w swojej „Krótkiej historji rozwoju partji socjalistycznej w Galicji“[2]): „Godzi się wspomnieć imię jednego z ostatnich „zakordonowców“, który znakomicie się przyczynił do urządzenia pierwszej uroczystości majowej w r. 1890. Był to młody Warszawianin, nazwiskiem Kasjusz, zapisany pod nazwiskiem Hausmana, a potem Słonimskiego na politechnikę lwowską. Niezmordowanej pracy tego cichego, chorego na piersi człowieka zawdzięczać w pierwszej linji należy, że wybitniejsi przedstawiciele robotników przejęli się myślą urządzenia majowej uroczystości. Policja lwowska wydała Kasjusza w czerwcu r. 1890 w ręce władz rosyjskich[3])“... „Praca Kasjusza pozostawiła po sobie trwały ślad, bo w pierwszej linji należał on do założycieli pisma partyjnego „*Robotnik*“, którego pierwszy numer pojawił się 1 marca 1890 r.“.

Święto majowe we Lwowie wyraziło się bezrobociem i olbrzymiem zgromadzeniem ludowem w podwórzu ratuszowem. Osiągnięte powodzenie postanowiono utrwalić — i oto w październiku—listopadzie 1890 r. powstaje we Lwowie „Partja Robotnicza“, a na początku 1892 r. odbywa się pierwszy zjazd zorganizowanych towarzyszów galicyjskich i partja przybiera miano „Socjalno-demokratycznej“.

Wślad za Stanisławem Padlewskim udajmy się do Warszawy. Stanisław Padlewski, z bohaterskiej rodziny, która już w trzeciem pokoleniu dawała bojowników sprawie rewolucyjnej, urodził się w r. 1856. Namiętny, bojowy temperament pcha go ustawicznie na pole walki, nieraz kłócąc się z rozsądkiem.

...Przybycie jego do Warszawy, jako emisarjusza, ożywiło tętno działalności partyjnej. „Proletarjat“ w r. 1889, jak już powiedzieliśmy, nie ujawniał się nazewnątrz; chroniło go to od aresztowań, ale znacznie osłabiało jego wpływ. Padlewski odczytami swemi (o historji socjalnej demokracji niemieckiej, o Komunie, o ruchu socjalistycznym w Rosji) sprawia, że „Proletarjat“ staje się głośniejszy w kołach inteligencji. Niemałe w tym czasie wrażenie budzi odezwa „Proletarjatu“ do młodzieży, wywołana marcowemi zamieszkami na uniwersytetach rosyjskich i pewnem wrzeniem, które z tego powodu objawiało się wśród studenterji warszawskiej. Odezwa (napisana przez Kazimierza Pietkiewicza) zachowuje się wobec zamieszek studenckich raczej obojętnie i wskazuje młodzieży jedyną drogę wyzwolenia — sprzymierzenie się z ruchem robotniczym.

W tym czasie, gdy zachodnia Europa przygotowywała się do święta majowego, gdy i u nas szerzyły się wśród masy wieści o tym ruchu, co ma „nieznajomemi świat poruszyć siły na nieznajome jakieś wielkie hasła“ — w tym czasie w Warszawie wybuchł strejk w zakładzie stolarskim Zelta. Był to strejk niewielki, niepozorny; cóż znaczyło kilka dziesiątków strejkujących? A jednak bezrobocie to nabrało wielkiego rozgłosu i przyczyniło się do zaagitowania szerszych kół robotniczych. Zorganizowano pomoc pieniężną dla strejkujących, którzy dzięki temu mogli się trzymać przez cztery tygodnie, agitatorowie szerzyli wieść o strejku po całej robotniczej Warszawie. Wprawdzie strejk upadł, ale korespondent warszawski „Przedświtu“ (Padlewski) słusznie pisał, że „wtedy nieliczne grono robotników strejkujących reprezentowało niejako cały proletarjat warszawski“.

Zbliżał się pierwszy dzień maja. W tej sprawie mimowolnymi agitatorami okazali się nowiniarze „kurjerkowi“, pomieszczając depesze z różnych miast Europy o gotującym się obchodzie. Z potulnych gazet warszawskich szersze koła robotnicze dowiadywały się o zamierzonem bezrobociu, o planowanych wielkich pochodach i zgromadzeniach. Cenzura zdrzemnęła się tym razem, kołysana błogiem poczuciem, że to wszystko tyczy się tylko „zgniłej Europy“. W następnym roku nic już „kurjerkom“ nie pozwalano pisać o robotniczym Maju...

W kierowniczych kołach „Proletarjatu“ nie odrazu zdecydowano się na wezwanie robotników do manifestacji. Widzieliśmy, że i na zjeździe paryskim delegaci polscy, głosując za uchwałą zastrzegli się, że surowa rzeczywistość może wniwecz obrócić ich najlepsze zamiary. Niepewność i wahanie panowały również w Komitecie Centralnym „Proletarjatu“. Przedstawiono dwa projekty odezwy: jeden miał charakter wyłącznie uświadamiający, tłumaczył znaczenie święta majowego i jego haseł, ale poprzestawał na wyrażeniu platonicznej sympatji dla międzynarodowej manifestacji, drugi — wzywał robotników polskich do udziału w święcie. Padlewski energicznie i namiętnie poparł ten drugi projekt i wreszcie udało mu się przekonać towarzyszów.

I oto 28 kwietnia pojawiła się z podpisem „Komitetu robotniczego“ odezwa w sprawie święta majowego (napisana przez B. A. Jędrzejowskiego). Odezwa wyjaśnia znaczenie święta, wskazuje doniosłość walki o 8-godzinny dzień roboczy i kończy się energicznem wezwaniem:

„I my nie możemy się przyglądać tylko zdaleka walce naszych towarzyszy zagranicą! I u nas nie przejdzie dzień ten napróżno... Wstyd tym, co będą się ociągali z podaniem dłoni do wspólnego braterskiego uścisku zjednoczonych robotników całego świata! Wystąpmy zgodnie! Śmiało, bracia, wszyscy razem“[4]).

Odezwę tę szeroko rozrzucono i rozklejono po Warszawie. Władze carskie były zaskoczone i niewiele mogły zdziałać dla przeszkodzenia uroczystości. Wypuszczono na miasto szpiclów i żandarmów; około 300 osób niezameldowanych powleczono do cyrkułów. Policja nie szczędziła usiłowań żeby święto majowe skazić i wykoleić pogromem żydowskim: w tym celu rozpowszechniała wieści, że 1-go maja będzie bicie Żydów i radziła kupcom żydowskim, żeby zamykali sklepy. Podła intryga nie udała się.

Wreszcie nadszedł 1-szy maja, wyczekiwany z tęsknotą i niepokojem. Był to dzień tryumfu. Według ówczesnych, może niezbyt dokładnych obliczeń około 8 tysięcy robotników powstrzymało się od pracy... Ale wskaźnikiem doniosłości święta majowego była nietylko liczba jego bezpośrednich uczestników; powszechne podniecenie i zainteresowanie, objawiające się wśród proletarjatu warszawskiego, świadczyły, jak ważny jest ten ruch dla socjalistycznego przeorania gleby ludowej.

---

[1]) Fragmenty z książki Feliksa Perla (Res): Dzieje ruchu socjalistycznego w zaborze rosyjskim, Warszawa 1910, t. I, str. 265—269. [2]) Str. 6. [3]) Skazany na 5 lat więzienia i 5 lat zesłania, Kasjusz wkrótce po odbyciu kary zmarł w Niemczech w r. 1904. [4]) Prócz odezwy polskiej, „Proletarjat“ wydał jeszcze odezwę w języku niemieckim.

Feliks Perl

ZAPOMNIANA ROCZNICA

„Zbrodnia na Polsce dokonana przerwała tylko byt polityczny kraju, nie zniszczyła życia narodu“. Temi słowy rozpoczyna się Manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, wydany w Poitiers w dniu 4 grudnia 1836 r. W Manifeście tym zawarła się cała ideologja Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. I dziś, po stu latach od chwili ukazania się, ważny ten akt tonie w mroku zopomnienia.

„Czas przypomnieć ojców dzieje“.

Upadek powstania listopadowego spowodował znaczny ruch emigracyjny. Część wojska, która z chwilą poddania się Warszawy przeszła granicę pruską lub austrjacką, powróciła do Polski, bądź zmuszona przez Prusaków, bądź zwabiona obietnicami amnestji politycznej. Reszta wojska polskiego wyruszyła w pochód — przez Niemcy — ku granicom Francji, gdyż istniało powszechne mniemanie, że Francja przyjdzie z pomocą tej części narodu polskiego, która ochroniła ją w roku 1830 od najazdu rosyjskiego. Niestety, emigrantów spotkał zawód. Wprawdzie bohaterski lud francuski sprzyjał powstańcom, lecz rząd Ludwika Filipa nie chciał się narażać potężnej Rosji przez zbytnie angażowanie się w sprawy polskie. Wiadomo wprawdzie, iż rząd pomagał materjalnie — oficerowie i żołnierze dostawali skromny żołd — ale, o ile chodziło o plany polityczne Emigracji, to rząd francuski temu surowo się sprzeciwił. Upadły plany i nadzieje związane z utworzeniem legjonu polskiego na francuskiej ziemi. Nie zezwolono nawet na osiedlenie się emigrantów w Paryżu, lecz porozmieszczano ich w różnych punktach kraju. Jakiż więc musiał być stan duchowy „rozbitków“ politycznych? Jakież panować musiało rozgoryczenie śród tej garstki, cierpiącej niedostatek, zdala od ojczyzny, wśród obcych, a znikąd pomocy?

W łonie samej Emigracji rozpoczęła się walka. — W roku 1832, w marcu wyłoniło się Towarzystwo Demokratyczne Polskie z łona Komitetu Narodowego, organizacja, mająca wielkie cele i zadania, wielkie znaczenie dla rozwoju polskiej myśli społeczno-politycznej. Były to narodziny demokracji polskiej, demokracji, która wówczas sformułowała swoje żądania i zawarła je w Manifeście z dnia 4 grudnia 1836 r.:

„Wszystko dla ludu przez lud: oto najogólniejsza zasada demokracji, cel i formę zarazem obejmująca. Wszystko dla ludu, dla wszystkich jest celem; wszystko przez lud, przez wszystkich jest formą...“

Wielkie hasła równości i wolności muszą być wprowadzone w czyn. Te hasła, równości i wolności powszechnej objawia Manifest w słowach prostych, szlachetnych i jasnych; dziś są one napewno dla wszystkich zrozumiałe, lecz sto lat temu...? Sto lat temu były one nowe, śmiałe i... — bądźcobądź — odważne:

„Wszyscy ludzie, jako istoty jednej i tejże samej natury, równe mają prawa i równe powinności: wszyscy są braćmi, wszyscy dziećmi jednego Boga-ojca, wszyscy członkami jednej rodziny-ludzkości. Każdy człowiek ma prawo szukać własnego szczęścia, wszystkie potrzeby fizyczne, umysłowe i moralne zaspokajać, wszystkie władze rozwijać i doskonalić, a w miarę pracy i zdolności we wszystkich korzyściach życia społecznego równy mieć udział.

Każdego również człowieka powinnością jest szukać szczęścia drugich, do zaspokajania ich potrzeb i rozwijania władz pomagać, własny interes szczęściem drugich i społeczności ograniczać, a w miarę otrzymywanych z życia społecznego korzyści do ciężarów publicznych przykładać się.

Przywilej, jakiemkolwiek nazwiskiem okryty, jest wyłamaniem się spod ogólnych powinności lub przywłaszczeniem jakiego prawa, jest zatem negacją równości, zgwałceniem natury.

Bez równości niema wolności, bo tam, gdzie jednym nie wolno czynić tego, co drudzy czynić mogą, musi być z jednej strony niewola, z drugiej despotyzm, a w całem społeczeństwie anarchja.

Bez równości niema braterstwa, bo tam, gdzie jedni zrzucają z siebie powinności i przenoszą je na drugich, musi być z jednej strony egoizm, z drugiej umysłowe i moralne znikczemnienie, a w całem społeczeństwie wzajemna między członkami nienawiść...“

Obok tych zasad znajdujemy w Manifeście Towarzystwa rozwinięte i dziś przyjęte zasady demokracji: władza ustawodawcza w rękach ludu, ustrój parlamentarny, z ministrami odpowiedzialnymi, powszechne nauczanie, wolność prasy i t. p.

Własność? Sprawa własności określona była w ten sposób, iż „społeczność ...prawo posiadania ziemi i każdej innej własności pracy tylko przyznaje“.

Towarzystwo Demokratyczne Polskie rozwijało przedewszystkiem ideę bytu niepodległego Polski. Polska być musi. Ale jaka Polska? Demokratyczna? W jednym z końcowych ustępów Manifest zaznacza, iż „daleką jest chęć mordów i pożogi własnego kraju“ od demokracji polskiej. Walki społecznej chwycą się tylko, gdy będą zmuszeni do tego jedynie przez tych, „co w zapamiętaniu własny egoizm nad wspólne dobro i wyjarzmienie Ojczyzny przeniosą“.

Manifest Towarzystwa Demokratycznego Polskiego jest w historji polskiej demokratycznej jedną z piękniejszych kart, niestety, kartą... zapomnianą.

Ta idea, zawarta w Manifeście, idea przebudowy społecznej, postawiona śmiało, wyraźnie i otwarcie przez grupkę demokratów emigracyjnych z Wiktorem Heltmanem, autorem Manifestu Stanisławem Worcellem, Ludwikiem Nabielakiem, belwederczykiem i Ludwikiem Mierosławskim naczele, przenikała coraz bardziej w świadomość społeczeństwa polskiego, przyczyniła się w dużej mierze do przekształcenia jego psychiki i do zrozumienia ciążących na niem zadań.

O jaką Polskę walczyli autorzy Manifestu? W co wierzyli? Oto odpowiedź:

„Odrodzona, niepodległa Polska demokratyczną będzie! Wszyscy bez różnicy wyznań i rodu odbiorą w niej umysłowe, polityczne i socjalne usamowolnienie, nowy porządek, obejmujący własność, pracę, przemysł wychowanie i wszystkie stosunki towarzyskie (społeczne), na zasadach równości oparty, zajmie miejsce bezrządu, któremu przywłaszczyciele[1]) nazwisko praw dotąd nadają.

Odrodzona Polska arystokratyczną rzeczapospolitą być nie może.

Wszechwładztwo wróci do ludu; stan niegdyś panujący rozwiąże się ostatecznie, między lud zstąpi, stanie się ludem;

Wszyscy będą równi, wszyscy wolni, wszyscy dziećmi jednej matki-Ojczyzny...“

Czyż się spełniły marzenia demokratów polskich? Nie!

A czy się spełnią? Wierzymy, iż tak!

„Odrodzona, niepodległa Polska demokratyczną będzie!“

---

[1]) Arystokraci-monarchiści spod znaku ks. A. J. Czartoryskiego.

I. Ks. Lettrab

ANNA KOWALSKA

DAVID GARNETT

Davida Garnetta opowiadania: *Beany-eye* i *The grasshoppers come* (Szarańcza nadciąga). Tauchnitz. 1936 r.

Garnett zyskał wielkie powodzenie książką: *Lady into fox*. Pomysł jej przypomina baśń japońską: ukochana małżonka przemienia się w lisa, zakłada nową rodzinę; ale baśń ma cechy najbardziej angielskie: humor i nierealność przekonywującą, bo liszka jest i doskonałym lisem i doskonałą kobietą. Paradoks porusza wiele półprawd w człowieku, nonsens staje się zrozumiały, a kaprys bliski sercu czytelnika. Dziwaczność sytuacji umotywowana jest logiczną konsekwencją.

O *Beany-eye* i *The Grasshoppers come* chciałam napisać już dawno. Jednakże trudno było mi pisać o książce, która tak mi się podobała. Nie wiedziałam, że prawdziwa trudność dopiero mnie czeka. Bo przeczytałam o tej właśnie książce Garnetta krytykę Desmonda Mac Carthy'ego, zaczynającą się od słów: „jakże trudno pisać o książce, która bardzo nam się podoba". Krytyka jest pochwałą, pełną kajania się za to.

Więc nanowo przeczytałam *Beany eye* i *The Grasshoppers come*. Uderzyło mnie, że oba opowiadania pisane są w jakiś ostateczny sposób. Już po pierwszem zdaniu zapominam, że czytam. Każde zdanie wywołuje obraz. Raz postawiona postać porusza się własną siłą. Kiedy ojciec autora spotyka wypuszczonego z więzienia Beany-eye, przeczuwamy wszystkie groźne kłopoty, jakie nawiedzą cały dom. Chociaż nie żyliśmy z furjatem. Beany-eye od pierwszych słów jest naszym znajomym. Patrzymy na niego oczyma małego Dicky, oczyma ojca, matki i służącej Mabel. A świat widzimy oczyma Beany-eye.

Wygląda to tak, jakby mały Dicky często słyszał tę historję opowiadaną w domu i tylko niektóre urywki sam sobie przypominał. Ojciec Dicka pracuje nad dziełem o psychologji tłumu. Kiedy zobaczył Joe'go Startlinga, zwanego Beany-eye, poczuł się odpowiedzialny za dalsze jego losy. Przyjmuje go do siebie na ogrodnika. Joe dowiaduje się od listonosza, że królowa Wiktorja umarła. Przy tej sposobności opowiada o następcy tronu: „Widziałam go raz w Epsen, tłusty jak indyk, wygląda na prawdziwego sportowca. Oto czego nam potrzeba: króla, który lubi trochę sport". Ojciec dumny jest z tego opowiadania i tłumaczy wszystkim w domu, że Joe nie jest wcale taki dziki, że są to tylko skutki przebywania w więzieniu.

Joe robi się jednak dziwny i wtedy podchodzimy bardzo blisko szaleńca. Czujemy jego oddech niespokojny, męczymy się jego rozpaczliwą bezradnością, kiedy zaczaja się na długie godziny na stołku, by nie spłoszyć młodej służącej, która mu się podoba. Tak jest sam przerażony strachem, jaki wywołuje, że nie dowierza żadnemu swemu słowu ani gestowi. Nie wie, któredy wyziera z niego szaleństwo. Nie może uwierzyć w cud, że ktoś się chce nim zająć. Chorobliwie podejrzliwy, wpada wkońcu w manjakalną złość, ale i wtedy czujemy zdradliwą logikę, która go ma doprowadzić do ataku furji. Ojciec Dicka stara się dla niego o inne zajęcie, obiecuje zrobić z niego wędrownego handlarza i kupić mu osła. Kiedy Joe podejrzewając, że z niego zakpiono, tłucze stos flaszek, które miał sprzedawać, uczony wiejski objeżdża wieś w poszukiwaniu konia czy osła, aż znajduje osła u staruszki; nabywa go, składając przyrzeczenie, że osioł dostanie się do dobrego domu z dziećmi.

Po atakach furji umieszcza Joe'go w zakładzie i przez lata troszczy się o niego. Joe wychodzi z zakładu, wtedy ojciec Dicka postanawia wreszcie zrobić coś decydującego dla niego: wysyła go do Kanady. Kupuje mu czapkę marynarską i pas skórzany, do którego wkłada pieniądze.

Zdarzenie to mógł opowiedzieć sam pisarz, niema w opowiadaniu nic, coby wspomnienia dziecka czyniło niezbędnemi: nic o samym domu, o życiu rodzinnem, o zabawach, losach, kłopotach małego Dicka. Ale autor pragnął ocalić od ironji prostotę wiejskiego zdarzenia i dlatego uczynił je przeżyciem chłopca. Tylko dziecko mogło odczuć tak naturalnie, bez zdziwienia i bez złośliwości czy politowania, zachowanie się Joe'go. Rzecz, którą moglibyśmy równie dobrze widzieć przez okno (ale wtedy ubawilibyśmy się kosztem Joe'go i tych, którzy się nim kłopoczą), pisarz umieścił w oku i sercu dziecinnem i przez to nie zatraciło się nic z ważności epicznej w tej prostej przygodzie (prawie nieprzygodzie) wiejskiej.

Autor wie o wiele więcej, ale opowiada tylko to, co związane jest z Joem. Mimo tak skąpych wiadomości, każda z postaci uzyskuje odrazu cały nasz kredyt. Jest to dość dziwny sposób uzyskiwania wrażenia autentyczności, bo zwykle wielka ilość podanych szczegółów w różnych oświetleniach przekonuje nas lepiej o istnieniu tych osób, ale Garnett jest pisarzem niedomówień. Nie widzimy ojca, na którego pochwałę napisane jest to opowiadanie, ale czujemy jego szlachetność, jego więcej niż biblijne miłosierdzie: optymizm, dobroć, pogodę uczonego. Trzeba bardzo wymyślnej gospodarki środków artystycznych, aby człowiek szlachetny nie wyszedł w tem opowiadaniu wiejskiem na głupca czy naiwnego lunatyka.

Mimo rzeczywistej grozy przepływa nad wszystkiem dziecinna zgoda na świat, na ważność ludzi, których pocieszną i żałosną nieporadnością autor w tem przedłużeniu cierpliwem uważnego spojrzenia dziecka łagodnie się bawi.

* * *

W opowiadaniu „Szarańcza nadciąga" najdoskonalej zespoliły się zalety umiejętnego autora.

Lilly Beanlands za dziesięcioletnie wierne małżeństwo została nagrodzona niespodziewaną śmiercią męża: okazał się po śmierci szlachetny i zapisał jej duży majątek. W pół roku potem poznaje Lily na Riwierze Wilmota Shap'a i zaczyna się prawdziwe życie, za którem zawsze tęskniła.

„Wilmot Shap był ciemnym brunetem o tak płynnych, czarnych oczach, tak niebieskawych szczękach, tak doskonale wyczesanych włosach, że wyglądał jak gładkie wodne zwierzę o mokrem czarnem futrze, właśnie kiedy zamierza dać nurka w rzece i znika szybko w wodzie, nie zostawiając śladu na powierzchni. Było w nim coś gotowego do dostosowania się, coś giętkiego i miękkiego w jego osobowości: nie można było pomyśleć, by jego wylizane futro mogło być przeczesane pod włos. Był graczem, całe życie przeżył, grając: grał w tej chwili".

Grą był lot nieznaną drogą na Daleki Wschód. Lily finansuje lot, jedzie z Wilmotem. Samolot prowadzi pilot Jimmy Wreaks. Lily wolałaby, gdyby sam Wilmot prowadził aparat, ale zabrakło jej odwagi mu to zaproponować. Zgadywała, że byłoby to zawiele żądać od kochanka. Jimmy Wreaks jest bohaterem wojennym o niezłomnej umiejętności, odwadze, znanym z wielu niewiarygodnych ocaleń. Lily podziwia go jako bohatera, lituje się nad jego bliznami, ale wolałaby, żeby go nie było, jest przecież człowiekiem z innej klasy.

W kabinie Lily i Wilmot wymieniają przez telefon półszczere, stylizowane wrażenia z podróży i oświadczenia miłości. Pilot walczy z sennością i z maszyną. Anglja, Holandja, Gdańsk, Moskwa, Wołga. Lily bawi się widokiem jak zabawką dla niej sporządzoną.

Wilmot bawi się myślą, że skoro lot się uda, Lily zaproponuje mu wkońcu i małżeństwo; ma zamiar być dobrym sportowcem wobec niej i nie oszukiwać w grze.

Defekt w motorze zmusza pilota do lądowania na górzystym terenie za Nan-Shan. Pilot ma zwichniętą nogę i zostaje przy aeroplanie. Lily z kochankiem idą szukać pomocy i od tej chwili słuch o nich zaginął. Pilot zostaje przy maszynie.

Kiedy startował na aeroplanie, na dalekich przestrzeniach Azji podnosiła się chmura szarańczy. I w tem właśnie miejscu się spotkali. Woda i szarańcza ocalają pilota od śmierci głodowej. Palące się resztki aeroplanu zwracają uwagę chińskiego lotnika.

Książka kończy się opisem szarańczy: „kiedy spadną na bezwodną pustynię, giną; którędy przejdą, zostawiają pustynię. Wyciągają skrzydła i odlatują. Po ich odlocie wychodzą z jaj nowe bezskrzydłe armje. Nie mają rozumu i bardzo mało tego, co możnaby nazwać instynktem. Wszystkie ich ruchy są termotropiczne: zależne od słońca."

Jeszcze więc jedno cudowne ocalenie legendarnego pilota. O nim samym autor niewiele mówi. W tok opowiadania włożona jest wizja spotkania z żoną: będzie ono jakieś bolesne, zdawkowe. Codzienność. Brzydka od blizn twarz pilota krzywi się w bolesnym uśmiechu, który przemilcza i pozwala zgadywać. Jimmy chce za wszelką cenę żyć, lęk przed śmiercią, nadzieja życia, i instynkt życia obnażony jest jak przy operacji. Głód, tracenie i odzyskiwanie panowania nad sobą. Ocalenie. Chwila wahania, powrót do równowagi. Opowiadanie skończone. Czytelnik czuje się obrażony, że autor nie chciał więcej powiedzieć. Z napomknięć złośliwie skąpych wie się, że wiele ciekawych, pasjonujących rzeczy możnaby opowiedzieć o Jimmym. Książka ta jest jak emocjonujące spotkanie z kimś, kto nas oczarował i zaraz odjechał: nietyle jesteśmy wdzięczni, że oczarował, ile obrażeni, że odjechał.

Kiedy autor mówi o Lilly, czterdziestoletniej trzpiotce i pensjonarce, dzielnej w katastrofie, mówi o niej w skrócie, tak jakby przypuszczał, że czytelnicy znają takie typy z życia i lektury i wystarczy o tem wspomnieć, jak o wspólnej znajomej. Nadaje to opowiadanej historji jakiejś naoczności i rzeczywistości, a równocześnie pozwala na skróty i elegancję intelektualną.

Bohater opowiadania, pilot, pozostaje przez połowę opowiadania dokładnie w roli pilota-szofera, wydaje się ciągle, że pisarz opowiada przygodę snobistycznej miljonerki i jej kochanka; nawet wtedy, kiedy przez drugą połowę opowiadania pilot zostaje sam i zaczyna się męcząca historja jego zguby, ciągle czekamy na powrót niezajmującej pary, prawie bagatelizując to ostatnie, jedyne nam znane z niewiarygodnych ocaleń pilota. I dopiero po skąpym komunikacie o zaginięciu pary, otwieramy oczy, przegapiwszy niejako bohatera i to, co jest zdarzeniem; ale pisarz nie zaaranżował dla bohatera opowiadania, nie zgrupował osób, nie rzucił światła z reflektoru: uniknął maszyny literackiej, o której tyle się pisze, że jest potrzebna, że ekonomia literacka wymaga wyczyszczenia linji i rysów, uproszczenia rzeczy pobocznych. Uniknął, zostawił pilota na jego stanowisku życiowem, nie zapowiedział, że naznacza go na bohatera, przeciwnie, zajął się tymi, którzy w samym locie są realnie ważni, właściciele-amatorzy i inicjatorzy niezwykłego lotu. Najęty pilot kieruje jedynie maszyną, potem jej pilnuje, z musu, bo jest ranny. I mimo tej niecentralności uzyskuje od czytelnika, od samego zdarzenia, laury bohatera.

CZY CHRYSTUS BYŁ ŻYDEM?

Głupota faszystów budziłaby litość, gdyby nie budziła pogardy

Weźmy przykład najbardziej drastyczny. Historyczność centralnej postaci Nowego Testamentu jest zagadnieniem równie doniosłem, jak trudnem. Nic dziwnego, że poświęcało mu się tyle pierwszorzędnych mózgów: od Celsusa do Niemojewskiego, od Orygenesa do Renana.

Dla faszyzmu zagadnienie to ma tylko jeden aspekt: rasistowski.

Dr. Józef Goebbels w swej powieści „Michael" (Eher—Verlag—München, 1931) oświadczył:

„Christus kann gar kein Jude gewesen sein. Das brauche ich erst gar nicht wissenschaftlich zu beweisen". (Chrystus nie mógł być Żydem. Nie potrzebuję wcale dowodzić tego naukowo.)

W jakiś czas po tej historycznej deklaracji pewne pisemko niemiecko-rasistowskie, nazywające się „Heimdall", poparło i rozwinęło tezę p. ministra propagandy. Oto przekład odnośnego fragmentu, zacytowanego w „Die neue Weltbühne" (21 luty 1935):

„Pewien germański urzędnik cesarstwa rzymskiego został wysłany do Palestyny, skąd rozpoczął starania o rychłe przeniesienie z powrotem (Rückversetzung). Pozwolono mu na nie. Ale podczas swego krótkiego pobytu (w Palestynie — przyp. mój) pozyskał on miłość Marji i ich stosunek nie pozostał bez następstw. Rodzice Marji byli zadowoleni, że pewien starszy człowiek, Józef, zgodził się ożenić z brzemienną panną. Jezus rósł jako wychowanek Józefa i pracował jako cieśla. Odziedziczył powierzchowność swego ojca; jego psychika była typowa dla mieszańca: niepokój, pociąg do ślęczenia i samoudręki, idealizm, często dochodzący do przesady, żądza wiedzy i t. d. znamionowały Jezusa..."

Satis. Z objektywnego, naukowego punktu widzenia są to brednie. Z punktu widzenia chrześcijanina: bluźnierstwa.

Powie ktoś może, że na podobne wyczyny stać tylko hitlerowców. Posłuchajmy więc algierskiego pisemka, „La Libre Parole", które stwierdziło, że co do pochodzenia Chrystusa nie może być żadnej wątpliwości:

„Il est ne en Galilee qui, comme son nom l'indique, fut une enclave celtique, comme le Portugal, la Galatie... Le seul aporte incontestablement Juif etait Judas" (cit. wg. „La Lumiere" z 20 lutego b. r.).

„Ani Żyd zatem, ani mieszaniec żydowsko-germański, tylko stuprocentowy Celt! Jeden Judasz spośród jego uczniów był Żydem!

Czyż nie miał racji stary Renan, mówiąc, że najlepsze pojęcie o nieskończoności daje głupota ludzka?

Zacytowane tu kwiatuszki są zresztą gnilnym produktem „gasnącego świata". Tego świata, którego reprezentanci w Polsce plują na pamięć Orzeszkowej i Konopnickiej, przygotowując szerszą kampanję antykulturalną.

Zygmunt Jarosz

MORZE W POEZJI POLSKIEJ

Morze w poezji polskiej. Antologja poezyj marynistycznych. Zebrał, omówił i całkowicie opracował Zbigniew Jasiński. Główna Księgarnia Wojskowa. Warszawa, 1937 r., str. 324.

Antologja Jasińskiego podzielona jest na dziesięć części, z których każda dotyczy morza lub tematu z niem związanego, zależnie od rozmaitego ustosunkowania się różnych poetów w ich utworach „marynistycznych". Części zatytułowane są więc np.: „Mare nostrum", „Pieśni portu", „Sny o dnie morza" i t. p. Chronologicznie rozciąga się ona od Asnyka poprzez przedstawicieli „Skamandra" do czasów dzisiejszych, obejmując ponad stopięćdziesiąt utworów sześćdziesięciu przeszło poetów. Stanowi to bezwzględnie dużą zasługę Jasińskiego ułożenie i wydanie tego rodzaju książki, lecz musimy stwierdzić pewne niedomagania, wynikające ze skupienia zbyt obfitego materjału. Antologja zawiera utwory nie tyle już różnorodne tematycznie czy formalnie, ile poprostu różniące się t. zw. „poziomem artystycznym". „Poprawność literacka", o której wspomina Jasiński we wstępie, jest pojęciem nieostrem, zwłaszcza w poezji. Dlatego należałoby dokonać selekcji utworów z większą surowością, a wyszłoby to na lepsze książce. Tak zaś obok wierszy uznanych (znanych już dawniej z druku, np. Słonimskiego, Czechowicza, Łobodowskiego) znajdują się tam rzeczy, których powodem umieszczenia w Antologji nie mogła być chyba chęć „uratowania literaturze szeregu cennych utworów o morzu, rozproszonych i niknących, nieraz zagubionych w setkach czasopism i książek". Zwłaszcza w niektórych razi podrabiany nieumiejętnie egzotyzm. Wskazaliśmy na to, co wydało nam się wadliwe pod względem czysto poetyckim. W sumie trzeba jednak książkę ocenić dodatnio, a Zbigniewa Jasińskiego specjalnie pochwalić, gdyż przez wydanie jej przyczynił się do zapełnienia luki w polskiej literaturze.

Zwraca też uwagę estetyczna szata zewnętrzna dzieła.

Władysław Jaworski

JERZY DOLIŃSKI

ARCHITEKTURA WNĘTRZA

Sal wystawowych Warszawskiego Instytutu Propagandy Sztuki nie chronią bynajmniej od przypływu widza robotniczego i pracowniczego żadne formalne przepisy czy instrukcje dla woźnych. Uchem igielnem, wprowadzającem selekcję wśród publiczności są wysokie opłaty za bilet wstępu. To też niepożądany element robotniczy nie ogląda tych wszystkich osiągnięć współczesnej oficjalnej, popieranej i subsydjowanej sztuki polskiej, dla której I. P. S. jest miejscem pokazu i rewji. W ten sposób wymyka się spod kontroli opinji świata pracy działalność tej instytucji, która do czuwania nad rozwojem sztuki polskiej została powołana.

Szczególnie urągająca klasie robotniczej i inteligencji pracującej Warszawy w swym zdecydowanym charakterze, po osławionej wystawie „zastaw stołowych", była kwietniowa wystawa „architektury wnętrza", urządzona staraniem Zakładu Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej.

Dzieje się to w kraju, którego miasta tem właśnie wyróżniają się wśród miast Europy, iż posiadają największą nędzę mieszkaniową, największe przeludnienie małych mieszkań, w czasie, gdy wzrasta w sposób zatrważający deficyt izb mieszkalnych w tempie *50.000 izb rocznie*, w stolicy będącej tej nędzy najwybitniejszym terenem — urządza się w salach państwowej instytucji *rewję tego, jak może mieszkać lepiej* ta warstwa społeczna, która posiadając pieniądze na zaspokojenie swych potrzeb i dzisiaj niewygód mieszkaniowych w najmniejszej mierze nie odczuwa.

Do tego właśnie, jak urządzić można *lepiej* wnętrze willi, czy też wielopokojowego apartamentu w luksusowym bloku mieszkaniowym — sprowadza się cała problematyka wystawy. Widocznie taki np. „pokój pana" jest dziś zbytnio w opracowaniu funkcjonalnem i artystycznem zacofany. Również „pokój pani" wielkim głosem woła o ulepszenia. Pokojom stołowym brakuje jeszcze ciągle dostatecznej harmonji, kolorytu, szkła, platerów i srebra. Trzeba jeszcze pamiętać o tkaninach, o tapetach, o należytem rozwiązaniu korytarzyka czy hollu!...

Należy przyznać znaczną kulturę autorom architektom. Ich wiedza fachowa, w sposób przekonywający bezpowrotnie usuwa zatłoczenie i nieracjonalność dotychczasowych wnętrz mieszkalnych. Znikają, jak złe sny, kredensy „ozdobne", przylepione do ścian kanapy, komody, meble przeróżne, na których człowiek siadał z niechęcią i obawą. Na ich miejsce powstaje wnętrze nowe, wyrafinowane swą prostotą i rzeczowością, lekkie i przystępne. Stwierdzić trzeba, iż przedsięwzięty ofiarny trud „dźwignięcia wzwyż" mieszkania luksusowego autorzy wystawy, w dużej mierze wypełnili celująco.

Taką oto wystawę, tchnącą błogim, pogodnym optymizmem i urągającą zarazem nędzy mieszkaniowej naszych miast, urządzono w dostępnych dla wybranych salach Instytutu Propagandy Sztuki. Czy nie należało raczej włożonej energji obrócić na inne tory?

Uważne obejrzenie wystawy i zastanowienie się nad jej wyzywającą w naszych warunkach absurdalnością, zmusza do wyciągnięcia dwu wniosków.

W stosunku do IPS-u. Trzeba przerwać błogi nastrój estetycznego trawienia, którego siedziba stała się ta instytucja dla wąskiej grupy specjalistów, dostających się tu bezpłatnie oraz dla snobów, mogących opłacać wysoki koszt biletu. Sale Instytutu muszą być otworzone dla szerokiej publiczności Warszawy przez obniżenie opłaty z 1 zł. 15 gr. (normalnej) oraz z 60 gr. (ulgowej) do poziomu *opłaty stosowanej w Muzeum Narodowem*. Musi też być wprowadzony jeden dzień *bezpłatny* w tygodniu. Robotnicza i pracownicza ludność stolicy chce i ma całkowite prawo oglądania wystaw i krytykowania poczynań tej instytucji.

Drugi wniosek dotyczy Zakładu Architektury Polskiej Politechniki. Dla 90% ludności miast polskich istotne jest zagadnienie innego „wnętrza", będącego naszą hańbą i przekleństwem. Wnętrze ohydnej kamienicy czynszowej z ulicy Wolskiej czy Czerniakowskiej w Warszawie lub z Bałut w Łodzi. Wnętrza baraków dla bezdomnych, ziemianek, zamieszkałych rumowisk pofortecznych, czy nawet dołów pokloacznych, wynajmowanych nieraz ludziom, strąconym na najniższy szczebel nędzy. W takiem wnętrzu, zimnem, ociekającem wilgocią, pozbawionem słońca, tłoczy się i marnotrawi życie całych pokoleń podstawowej produkcyjnej ludności miast polskich.

W tej sytuacji przedmiotem studjum Zakładu Arch. Polskiej, skoro zdecydował się zabrać głos w sprawach aktualnych, powinno się było stać zagadnienie projektowania urządzenia *mieszkań dla mas*. I z taką właśnie inicjatywą urządzenia wystawy projektów kilkuizbowego, zdrowego i kulturalnego mieszkania robotniczego trzeba się było zgłosić do IPS-u. Trudnoby wyszukać dla IPS-u równie wzniosłej i bardziej obywatelskiej idei do propagowania.

Bardzo to nieladnie ze strony młodych, już wychowanych w polskiej uczelni przedstawicieli „wolnego zawodu" architekta, że podnosząc publicznie sprawę kultury wnętrza mieszkalnego, odrazu bez skrupułu cały swój wysiłek skierowali w kierunku wprost przeciwnym, niż ten, który wskazują ogromne, niezaspokojone potrzeby ludu pracującego. A przecież już dziś jest widoczne, iż właśnie zaspakajanie tych potrzeb i ich kształcenie stanowić będzie w przyszłym ustroju planowej gospodarki społecznej *wielką dźwignię postępu również i w dziedzinie architektury*.

LEON PASTERNAK

DWADZIEŚCIA SIEDEM LAT

Masz oczy śmiałe jak ja,
ręce skore i nogi gotowe do biegu —
już meta młodości przy piersiach
już na nich napięta legła

Po napisanych poznaję to wierszach,
ty z wiór spadających spod hebla.

Ty z wiór, ów z huku i iskier,
ten z dłoni więdnących bezczynnie.
Zawzięci i niepokonani
i dziś i jutro — jak ongiś!

Rzeźbimy życie — marzenie i granit,
choć własne nas grzebią posągi.

Skróś nocy szumiącej snami
lub nocy mózg neurastenją
szarpiącej, gdy budzę się w krzyku,
a w szybach świt drży i gwar już

w nich dzwoni, widzę cię, mój rówieśniku
i lat naszych mroczny diarjusz.

Młodość za nami. Czas niedaremny.
Wydarty ziemi, żywiony krwią,
u niczyjego nieżebrany bóstwa,
nieopłakany niczyjemi łzy.

Bruzdę na czole, zaciętę usta
i oczy mam śmiałe jak ty.

FRANCISZEK PARECKI

DZIEŃ DOJRZEWANIA

Był sierpień w Kazimierzu,
te chwile będziemy pamiętać.
Obłoki jak dni na nocy leżą
białemi nagrobkami — żydowski cmentarz.
Był za oknem sad pełen wzruszeń;
szumi liści strzępiasta strzecha,
płaski plusk spadających gruszek.
Cóż, chyba się tylko uśmiechać.
Chyba żegnać się i całować.
Lecz już wie się:
gałęziami przecie jesteśmy,
gniecie cudzych owoców ciężar;
słabe pędy połamie jesień,
mocne będą w konary stężać,
więc nie swój ten ciężar nieśmy,
aż nas wiatr z niego oczyści,
przyjdzie powódź
rubinowych sztandarów liści.

Umazała cierpienia krew
rodny pień, z którego rośniemy;
to ognisty miecz archanioła
na zachodzie powstaje niemy,
to grad skier, nie gruszki, nie rosa opada na zioła

całe światy spadają z drzew.

Tak patrząca w okno dziewczyno,
tak, gałązko rosnąca obok.
Cała ziemia to sad w Kazimierzu,
że aż nazbyt ta sama i jedna.
Niepodobna, z niej rosnąc, zaginąć,
choćbym, błądząc, kosmos przemierzył
choćby skryła mnie śmierć — biały obłok.
Nie odchodzę, więc pocóż się żegnać?
Przestaniemy być gałęziami,
zwykli ludzie co kiedyś pogodne
w kosze wielkie zbierzemy sami
(żaden już nad nami ogrodnik)
z nas wyrosłe owoce prawdy.

Oto wieczór sierpniowy spadł.
W naszych rękach jesień dojrzewa.
Kapnie gruszką niechętny świat.
Archanielskie miecze — my —drzewa.
To jest. Zaprawdę.

POEZJE

Stefan Napierski: Elegje, Warszawa 1937 r. F. Hoesick, str. 71.

W ostatnim tomie Stefana Napierskiego uderzają dwa zjawiska, będące znamiennemi symptomami, że poezją polską przeciąga obecnie powiew klasycyzmu (dadzą się one zauważyć nadto głównie u Miłosza i Hertza), a ogólnie określić je można jako: 1) ścisłe oraz konsekwentne przestrzeganie pewnego rygoru formalnego (przeważną ilość w „Elegjach" stanowią trzynastozgłoskowce z pełnemi rymami!) i 2) sposób obrazowania, doprowadzony do wysokiego artyzmu. Mimo, że są one wspólne twórczości kilku poetów, poezja Napierskiego odcina się dzięki jego własnemu genre'owi o bardzo charakterystycznem słownictwie, stylu, nastroju i kolorycie, z wielką ostrością od tamtej.

„Elegje" — to prawie bez przerwy ciągnący się szereg pięknych powiedzeń i zwrotów, w których zawarty jest jakiś pełen specyficznego uroku świat, a raczej wizja tego świata, zachwycająca tak klarownością swojej konstrukcji, rozpatrywanej jako całość w danym utworze, jak również wyrazistością poszczególnych jej elementów.

Niezapomniane wrażenie pozostawiają takie wiersze, jak: „Elegje" na str. 32 i 38, „Elegja do róży", „Pastorale", „Do poety".

Większość elegij owiewa refleksja, zdania tworzące je przedstawiają się nam jakby napisane z głębokim namysłem nad dziejącemi się sprawami, znajdującemi swe odbicie w danym wierszu („Aż przebiegnie nas nicość, jak powrotna fala", „widne gwiazdy czuwają, bym dał uśmiech zgody"). W związku z tem utwór staje się nieraz wyrafinowany, nawet przerafinowany, a ta ostatnia cecha pociąga pozorną prostotą myśli wyrażonej. Zwłaszcza w niebywale oryginalnym „Poemacie opisowym" natrafia się na uwagi, odznaczające się perwersją, która polegając na nieoczekiwanych kontrastach i dysonansach w stosunku do poprzednio opisanego czy to jakiegoś widoku, czy to zdarzenia, stanowi nagłą konfrontację świata zewnętrznego z rzeczywistością introspekcyjną poety.

Nie wolno nam też pominąć silnego patosu, jaki przebija w niektórych elegjach (np. pewne części „Poematu opisowego", „Rozmowa z cieniem").

„Elegje" należy uznać za punkt zenitowy w hierarchji dotychczasowych osiągnięć Napierskiego, co pozwala zaliczyć poetę do czołowych liryków Polski powojennej. „Elegje" — to przedewszystkiem dokument ogromnej kultury poetyckiej.

Józef Andrzej Frasik: Łąkami w górę. Warszawa—Kraków, 1936. Biblioteka „Okolicy Poetów". T. V., str. 46.

Na debjut Frasika składają się wiersze napisane w ciągu lat 1930—1936 skutkiem czego zawiera on utwory o wielkiem zróżnicowaniu co do ich jakości. Czytając jedne, w których autor wnika w przyrodę, zespala się z nią, można się niemi wzruszyć, zwłaszcza mimo surowych i prostych nieraz wyrażeń ogromną w nich rzewnością („będę miał ze szumu trumienkę"). Frasik sercem prawdziwego poety odczuwa przestwór łąki jesiennej albo samotność wieczorną, choć krajobrazy w jego wierszach czasem są monotonne. Inne wiersze (chyba wcześniejsze) o charakterze społecznym („Prosektorjum", „Ojczyzna druga"), gdzie autor usiłuje przedstawić jakąś koncepcję intelektualną, popartą kiepskim patosem zdecydowanie obniżają wartość tomiku. Ponieważ temat wyklucza z nich możność owego spontanicznego liryzmu oraz świeżości, jaka przysługuje wierszom Frasika, powstałym przez zetknięcie się z przyrodą, są sztuczne i tak nieumiejętne, że na nic się wtedy nie zdają peiperyzmy w rodzaju: „słońce, bezpłatny lekarz".

Zdzisław Popowski: Pieśni uroczyste. Biblioteka „Kameny". 1936, str. 53.

Po przeczytaniu tych wierszy dochodzi się do sądu, że autor ich posiada talent który w chwili teraźniejszej znajduje się na niewłaściwej drodze. Winno temu przedewszystkiem to, co Czernik określiłby mianem „fantastycznej galarety", jaka występuje w silnym stopniu w „Pieśniach uroczystych". „Pieśni uroczyste" są uporczywem, a szkodliwem błądzeniem w niewyklarowanych naogół dostatecznie wizjach, w nieprzezwyciężonych „mirohładach". Wprawdzie trafiają się tam piękne miejsca, („Błękitna elegja", „Legenda") ale utwór po spercypowaniu całości „ulatnia się", spowodu swej nikłości i nieuchwytności. Nie jest więc dziwne, że spotykamy wiersze, w których poeta — jak to się powiada — nie ma nic do wyrażenia, prócz oczywiście pewnej gry własnych marzeń, a przy takich wypadkach nie jest on w stanie pokryć owego „nic" barokiem słownym (np. „Wiatr-mustang tnie bez czasu kamienne ócz źrenice").

Za często też powtarzają się w niektórych wierszach „sny", „dusza", co przypomina młodopolszczyznę w gorszym gatunku. Być może, że Popowskiemu brak przeżyć, osobliwie zaś wzruszeń tego rodzaju, które implikują i determinują utwór poetycki, odzwierciedlając się w nim ponadto i przez to rozprasza się on (Popowski) w iluzorycznych, zamglonych obrazach. Dwa poematy, a to: „Pieśń o zatopionych okrętach" oraz „Drogi za miastem", mimo, że pozostają pod dużym wpływem Łobodowskiego, należą do najlepszych w tomie i świadczą dodatnio o możliwościach autora (większe opanowanie i skonkretyzowanie wizji), które wyzyskał narazie zamało.

Stanisław Piętak: Ziemia odpływa na zachód. Poemat. Warszawa, 1936. Skład główny Tow. Wydawnicze, str. 22.

Już na podstawie „Alfabetu oczu" można było scharakteryzować Piętaka jako poetę par excellence wzrokowca (nie wizjonera!). „Ziemia" to poemat, którego treścią są dzieje Stefana i Róży podczas przemarszu wojennego wojsk przez wieś w Sandomierskiem, wypełniony krajobrazami wiejskiemi o różnych porach dnia i roku. Autor, posłużywszy się własnemi obserwacjami, opartemi na autentycznym, jak się wydaje, materjale, „odmalował" z dużym artyzmem życie wsi polskiej, abstrahując od jakichkolwiek animozyj społecznych. W stronie formalnej uwidaczniają się pewne zależności, głównie od Czuchnowskiego i Czechowicza. Piętak, będąc jednym z kontynuatorów awangardy, potrafi stosować jej zdobycze umiejętnie i z umiarem, przez co unika konstrukcyjnych bohomazów czy dziwactw poetyckich, jakie się trafiały w tamtej. Poemat jest opracowany starannie, nawet w miejscach słabszych niema niczego „puszczonego". Czy „Ziemię" należy uważać za zwiastunkę odnawiającej się epiki w poezji polskiej, przyszłość okaże.

Benedykt Szeftel: Akordy (poezje). Wyd. H. Szpakiewicz. Łódź, 1937.

„Poezje" te przedstawiają grafomanję na najniższym stopniu rymotwórstwa. Oto próbka: „Będzie burza Wielka, duża Chmury czarne, Groźne, parne". Możliwe, iż „Szteftel jest człowiekiem bardzo wrażliwym i ambitnym", jak czytamy w przedmowie, niestety „Akordy" są niedostatecznem wyrażeniem jego stanów psychicznych. Z przerażeniem dowiadujemy się od autora, że „Moja tęsknota, jak dumna kokota ciała części rwie grozi, drwi i zwie?" oraz że, „Gdy układam wiersza rym rycząc, śpiewając, od ludzi czmychając".

Władysław Jaworski

LUDZIE W DŻUNGLI

Pola Gojawiczyńska: Dziewczęta z Nowolipek, t. I—II, wyd. II. — Rajska Jabłoń t. I. Warszawa Tow. Wyd. „Rój“ 1936.

„Dziewczęta z Nowolipek“, jak i dalszy ich ciąg, niedokończona jeszcze „Rajska jabłoń“, są dziełem w pewnym sensie olśniewającem. Ogląda się przez nie życie nawskroś aż do samego spodu, jak w latarni czarnoksięskiej, którą jako dzieci robiliśmy z papieru, a w którą włożone okruszki papieru przybierały niesamowite, gigantyczne kształty, najpiękniejsze pejzaże, najcudowniejsze zdarzenia. Tak i w tej książce włożone w nią najzwyczajniejsze, już tak zużyte i zbanalizowane okruszki życia: miłość, zdrada, śmierć, choroba, nagle otrzymują inne znaczenie, inny wymiar, stają się niemal kosmiczną potęgą.

Ale te okruszki życia są w dziele Poli Gojawiczyńskiej rozrzucone, postrzępione, fragmentaryczne. Surowa ruda rzeczywistości nie zostaje w dziele Gojawiczyńskiej obrobiona, przetopiona w świadomy kształt. Życie zostaje przeniesione na karty książki żywcem w swej ciemnej, enigmatycznej postaci. Gojawiczyńska nie rozumie świata, który opisuje, nie stara się go zresztą zrozumieć. Chwyta go na surowo, zużytkowuje poszczególne jego elementy — materjał budulcowy rzeczywistości — ale tylko w tym samym układzie, w jakim one tkwią w tej rzeczywistości. Niema w niej ani cienia inżynierskiego zmysłu budowania, niema w niej już nie artystycznej, ale nawet życiowej zdolności układania zjawisk. Gojawiczyńska widzi je tylko i — zdumiewa się nad niemi.

Wszystko znajduje się w jej dziele, wszystko, co jest najważniejsze i najistotniejsze w życiu. Rodzi sie człowiek, umiera, kocha i nienawidzi, raduje się i łamie w rozpaczy. Losy bohaterek nie są tylko losami paru dziewcząt proletarjackich czy drobnomieszczańskich nie są nawet losami pewnej warstwy czy klasy społecznej, ale są losami całej ludzkości. A jednak potężne wzruszenie artystyczne, jakiego doznajemy, nie jest z rzędu tych, które oczyszczają. Potencjał sztuki zawarty w tem dziele nie jest nabojem wystrzelonym w przyszłość. Oczywiście nie decyduje to o jakości artyzmu Gojawiczyńskiej, który jest z gatunku najprzedniejszych, ale o jego kierunkowości. Świat duchowy Gojawiczyńskiej, tak samo jak i jej bohaterek (co jest w tym wypadku, jak rzadko kiedy, jednem i tem samem) nie rozwija się wogóle, jest zastany i martwy. Cóż z tego, że Kwiryna dorabia się majątku a Amelka uzyskuje poważną pozycję socjalną? Ich świat wewnętrzny jak i świat który je otacza, pozostaje, mimo wszystkie dokonywające się przeobrażenia dziejowe, niezmieniony i nie zmieni się nigdy. Jest w takiem widzeniu tego świata beznadziejność rozpaczy, która nie jest wypływem pewnej filozoficznej postawy duchowej autorki, ale właśnie wypływem braku jakiejkolwiek postawy filozoficznej.

Bo świat Gojawiczyńskiej mimo pozorów współczesności jest prehistoryczną dżunglą, poprzez którą przedziera się półnagi człowiek pierwotny z kawałkiem gładzonego kamienia w rękach dla obrony przed czyhającym nań zzewsząd wrogiem. „Dziewczęta z Nowolipek“, mimo że w „Rajskiej jabłoni“ podrosły już, są już dojrzałe, są żonami i matkami, przecież trwają ciągle w nieprzeniknionej mgle nieświadomości, błądzą poomacku w ciemnościach tego świata, stojąc bezradnie, jak małe dzieci, naprzeciw wielkiego, niezrozumiałego życia. Ludzie w tym świecie Gojawiczyńskiej mówią nieraz wysoko kształconym językiem cywilizacji, a jednak najlepiej wyrażają oni swoje uczucia i myśli bezkształtnym lirycznym bełkotem, nieartykułowaną mową przodków z epoki kamiennej lub mową niemowląt z okresu błogiej niewiedzy o wszechświecie.

Jednym z elementów, składających się na ten pierwotny, animalny charakter duchowej atmosfery panującej w obu wspomnianych książkach, jest samotność. Ludzie Gojawiczyńskiej są samotni tą najstraszniejszą samotnością, jaka może być udziałem człowieka. Nie jest to osamotnienie prawdziwej wielkości której „nic co ludzkie nie jest obce“, i która dzięki temu ma prawo wznieść się ponad społeczność ponad stłoczone w dole masy, z których wyrosła. Samotność bohaterów Gojawiczyńskiej nie jest siłą, ale słabością. To jest samotność praczłowieka, który był zdany wyłącznie na własne siły, który nie był z nikim związany ciepłym węzłem braterstwa, dla którego świat był obcy i wrogi. W „Rajskiej jabłoni“ tak właśnie przemykają się przez życie wszystkie bohaterki, pełne lęku i nieufności w stosunku do świata, którego nie rozumieją, jak nie rozumiał go ich odległy praszczur. Niema nic wspólnego między temi kilkoma dziewczętami, a resztą świata, węzły wspólnoty, które pozwoliły człowiekowi wydobyć się z mroków historji na światło cywilizacji, u nich zostały stargane. Jakaż różnica między tą samotnością a np. samotnością Kassnera z „Czasów pogardy“ Malraux, tego Kassnera, który w lochu więziennym, na samym dnie istnienia odcięty od wszystkiego, co żyje — przecież czuje w żyłach i w krwi rytm serdecznego bratniego wołania i uświadamia sobie, że gdzieś daleko od niego jest bliźni jego, człowiek, brat, który nie znając go, otwiera mu drogę do wyzwolenia. U Gojawiczyńskiej, Ignacy myśli o życiu „jak o dżungli pełnej ciemności“, Bronka jest „zupełnie osamotniona“ a ludzie są dla niej tylko „czemś w rodzaju łącznika z życiem, bo żaden człowiek nie wytrzymałby zupełnego milczenia“. Cechna po zerwaniu z mężem „może liczyć tylko na siebie“. Stąd ostateczne sformułowanie: „Człowiek musi się stwarzać sam, dźwigać sam, uczyć sam“.

Gojawiczyńska neguje nietylko istnienie zwartych klas społecznych, w tym wypadku proletarjackiej, z której się wszystkie jej dziewczęta wywodzą lub mieszczańskiej, do której w dalszej kolei swego życia doszły. Gojawiczyńska neguje wogóle istnienie społeczności jako mocno ze sobą związanego zbiorowiska poszczególnych indywidualności. Stąd pogarda, z jaką się odnosi do wszelkiego rodzaju poczynań społecznych. Jeżeli ktoś w „Rajskiej jabłoni“ wielbi społeczność, to tylko dlatego, że czuje się „w społeczności niczem złodziejaszek w gęstym tłumie gdzie łatwiej o łup“.

Tego rodzaju duchowe nastawienie musi prowadzić do katastrofy. To też każda z bohaterek Gojawiczyńskiej, mimo doraźne, zewnętrzne sukcesy życiowe, w gruncie rzeczy wynosi z tego życia porażkę. Pozbawione jakiegokolwiek oparcia, zagubione w „dżungli pełnej ciemności“ bezskutecznie szukają ratunku. Nie rozumiejąc siebie — jak nie rozumieją świata — czepiają się pierwszego lepszego człowieka, którego mają pod ręką, łudząc się, że to im pozwoli utrzymać się na powierzchni. Nie wiedzą jednak, że i ten drugi człowiek jest tak samo jak one samotny i nieświadomy, że i z nim, tak jak i bez niego, muszą iść na dno. Bezskuteczne są wysiłki Kwiryny, która swe osamotnienie usiłuje zdławić po nocach w ramionach swego męża Romana. Napróżno serce i zmysły Amelki wyrywają się do młodego Andrzeja. Ludzie Gojawiczyńskiej muszą pozostać samotni nazawsze.

Pierwszy tom „Rajskiej jabłoni“ kończy się optymistycznym akordem. Jest właśnie pamiętny maj 1926 roku i wojska marszałka Piłsudskiego wkraczają do Warszawy. „Może wreszcie coś się zmieni, może wreszcie będzie lepiej“ — monologuje Kwiryna i myśli Bronka. Ale my wiemy, że nic się nie zmieni, że nie będzie lepiej ani inaczej. Od świata, w którym panuje tajemniczy mistyczny półmrok dżungli, do świata, w którym jest jasno i dobrze, droga jest daleka. „Dziewczęta z Nowolipek“ jej nie przebyły.

Henryk Vogler

KRAUZOWIE I INNI

Z cyklu: Karjery. Herminja Naglerowa: Krauzowie i inni. Powieść. Tom I—III. Wydawnictwo J. Mortkowicza. Warszawa, 1937.

Naglerowa jest z tego samego rodu powieściopisarzy, co Mann, Galsworthy, Dąbrowska. Pisze powieść-monstre, o szerokim epickim oddechu. Trzytomowe dzieło „Krauzowie i inni“ jest częścią wielkiego cyklu „Karjery“, stanowi jednak zamkniętą w sobie całość.

Treścią „Krauzów“ jest historja miasteczka powiatowego Bory (Brody) w Galicji z lat 1865—67. Dzieje miasteczka są przedstawione na tle ogólnej sytuacji społeczno-gospodarczej i politycznej tych czasów. Autorka pokazała umiejętnie, jak w splocie zawiłych spraw i zagadnień, niezależnych od jednostki, obraca się człowiek, jak bardzo skomplikowane jest życie, będące wypadkową najróżnorodniejszych interesów i dążeń. Może to jest zbyt ryzykowne, ale śmiem twierdzić, że powieść Naglerowej jest jedną z nielicznych w literaturze polskiej, wnoszących i nowe metody ujmowania losów ludzkich i nowe problemy, o których u nas — nawet w nauce — bardzo mało się mówi i pisze. Naglerowa nie chce być banalną romansopisarką, dla której intryga i fabuła stanowią istotę dzieła literackiego. Jej chodzi o coś więcej: o człowieka i społeczność ludzką, o to, dlaczego, w jaki sposób powstają w życiu ludzkiem takie zagadnienia, a nie inne, na czem polega problem społecznego współżycia, kiedy powstają nowe ruchy społeczne i o ile znajdują wyraz i odbicie w dążeniach poszczególnego człowieka.

„Krauzowie i inni“ to powieść o przemianach społecznych w Galicji po powstaniu styczniowem.. Autorka udowadnia, że pozytywizm — jako w znacznej mierze program rodzącego się mieszczaństwa polskiego — w życiu zaistniał wcześniej aniżeli w teorji, w prasie i literaturze. Znikają dawne ideały romantyczne, schodzi na plan dalszy arystokracja i szlachta, wysuwa się i stanowić chce o sobie i o przyszłości kraju mieszczaństwo, którego doskonałym reprezentantem jest Stanisław Krauze, czołowa postać powieści, z przeciętnego sklepikarza stający się wybitnym kupcem, przemysłowcem, a wreszcie burmistrzem Borów.

Głęboka i drobiazgowa analiza historyczno-socjologiczna jest u Naglerowej połączona z konsekwentną psychologją postaci. Znajomość człowieka jest godna podziwu.

W całości otrzymujemy epicką opowieść o Galicji sprzed lat siedemdziesięciu, o naszych dziadach i pradziadach, o tem wszystkiem, co i dziś jeszcze jest żywe i aktualne. Nie wiem bowiem, czy powieść straciłaby wiele, gdyby się jej akcję przeniosło na dziś. Wiele zagadnień, wiele spraw ma jeszcze obecnie to samo znaczenie, co kiedyś. Wartość powieści historycznej na tem także polega, że pozwala pisarzowi wypowiedzieć jego stosunek do otaczającej go rzeczywistości. Przeszłość jest tylko pretekstem. Pisarz świadomie uwydatnia ten nurt który jest zawsze w dziejach ludzkich żywy i płynący na wierzchu, a wzbiera szczególnie w pewnych okresach.

Karol Kuryluk

SOLIDARYZM SPOŁECZNY W NIEMCZECH

Janina Miedzińska: Na niemieckim froncie pracy. Instytut Wydawniczy „Bibljoteka Polska“. Warszawa. 1937.

Niemcy po przegranej wojnie, w której przeciwstawiły się niemal całemu światu i zostały pokonane nietyle przewagą militarną tego świata, ile raczej wzięte głodem, zareagowały w postaci hitleryzmu dążeniem do udoskonalenia swej siły, aby jeszcze raz się zmierzyć, lepiej do nowej rozprawy przygotowane.

Obecnie cały „wyścig pracy“ niemieckiej jest wyłącznie ku temu celowi skierowany, w tym wyłącznie kierunku pośpiesznie pracują wszystkie komórki niemieckiego życia zbiorowego, a terrorystyczny regime nagiął wszystkich do tej narodowej i państwowej służby. Ten patrjotyczny cel ma wedle doktryny narodowo-socjalistycznej uświęcić wszelkie środki. Sile organizacji hitlerowskiej poddał się też cały naród.

Zniszczono wszelką swobodę myśli, wszystko podporządkowano jednej woli. Największy nacisk ta „wola“ położyła na zakaz walk społecznych. Tę przeszkodę usunięto z całą bezwzględnością i utrzymując ustrój kapitalistyczny w nieskalanej czystości, tylko pozorami i starciem zewnętrznych kantów klasowych, usiłuje się wywołać wrażenie idealnej zgody narodowej.

Sprawie niemieckiego frontu pracy poświęcona jest ostatnia interesująca praca Janiny Miedzińskiej.

Autorka, doświadczony inspektor pracy, wyzyskała swój krótki pobyt w Niemczech dla podpatrzenia, jak wygląda zagadnienie pracy w realizowanym obecnie ustroju hitlerowskim. Trzeba przyznać, że choć wgląd ten był dość migawkowy, podobnie jak przed kilku laty w Sowietach, odznacza się równą bystrością i objektywnością spostrzeżenia.

W odpowiedzi na propagandowe zachwyty nad „pięknem pracy“ w Niemczech, autorka stwierdza krótko, że najlepiej urządzone pod względem technicznym i higjenicznym fabryki pochodzą przeważnie z czasów przedhitlerowskich. Co jednak dawniej uważane było w Niemczech za normę w warunkach pracy, dziś opiewa się w propagandowych broszurach jako zdobycz nowej ery.

Nie naruszając kapitalistycznej pozycji właściciela fabryki, nowy ustrój nazwał go tylko „przywódcą“ zakładu pracy, robotników drużyną, a wszystkich razem „wspólnotą“ zakładową, która ma pracować dla dobra produkcji, a więc narodu i państwa. Gdyby ten „przywódca“ nie był równocześnie właścicielem fabryki, instytucja ta przemieniłaby się w rzeczywistą wspólnotę, ale teraz pod tą społeczną nomenklaturą kryje się ustrój kapitalistyczny i jego pogoń za zyskiem.

Za temi pozorami idą dalsze bardzo realne następstwa. Ponieważ przywódca-pracodawca, wedle teorji narodowo-socjalistycznej, ma pracować dla dobra państwa i produkcji, broń Boże dla osobistego zysku, ustawodawstwo pozostawia mu w fabryce wielką swobodę. Nie ogranicza go w ustalaniu czasu pracy, który zasadniczo tylko ma być 8-godzinny, ale może być przedłużony wedle „potrzeb produkcji“ do 60 godzin tygodniowo, za co można płacić o 25% więcej, o ile nie umówiono się inaczej (oczywiście można się „umówić“ niżej); pracodawca układa regulamin pracy, niekrępowany w swej „wolności“, wymiar urlopów jest też bardzo dowolny, termin wypowiedzenia pracy nie może przekraczać 3 dni. Są wprawdzie w fabrykach „rady zaufania“, ale przewodniczącym ich jest pracodawca, przez jego ręce muszą przechodzić ewentualne skargi do instancyj nadzorczych — dlatego skarg takich prawie niema. Ponieważ pracodawca „najlepiej wie“, co leży w interesie produkcji, dlatego rola jego w przedsiębiorstwie jest dyktatorska; nikt się jej nie przeciwstawia, bo wprawdzie „Arbeitsfront“ odziedziczył majątek związków zawodowych i przymusowo inkasuje od robotników składki, ale zawodowemi sprawami robotników się nie zajmuje; on tylko ma wychować robotników na dobrych hitlerowców.

Autorka opisuje szkołę dla pracodawców, którzy przebywając przez 8 dni (!) wspólnie z robotnikami uczą się narodowo-socjalistycznych zasad. Te ośmiodniowe kursy mają zatrzeć klasowe różnice między kapitałem a pracą...

Miedzińska wskazuje również na to, że system hitlerowski usiłuje oprzeć się na młodzieży. Jej wychowaniu poświęca bardzo dużo. Polega ono na wydobyciu i uwypukleniu poczucia siły. **Kult siły i dyscypliny**, oto wytyczne wychowania młodego pokolenia; tym ideałom podporządkowane jest tak fizyczne jak i duchowe przysposobienie. Co z tego młodego pokolenia może wyróśc, nie trudno odgadnąć. Cała nadzieja w tem, że i w tak wychowanej młodzieży rozbudzi się w pewnym momencie człowiek, który kultywowaną teraz starannie siłą fizyczną usunie brutalnie narzucony mu balast, i że całe społeczeństwo niemieckie ocknie się z rasowej psychozy, w jakiej dzisiaj żyje.

Książka Miedzińskiej napisana jest żywo, interesująco i zasługuje na przeczytanie.

Jan Szczyrek

PRZEGLĄD PRASY

Numer 3 **Drogi** przynosi interesujący artykuł J. Iwanowskiego „Możliwości wznowienia emigracji osadniczej“. Autor kreśli historję ruchów migracyjnych, uważając je za ważny czynnik w dziejach ludzkości. Szczególnie ważne znaczenie ma emigracja dla Polski. „Jej przyrost naturalny, chociaż zlekka zahamowany w latach kryzysu, wciąż utrzymuje się na jednem z przodujących miejsc pośród krajów europejskich, powodując przeludnienie kraju, nie odpowiadające w żadnym stosunku jego warunkom gospodarczym i rozwojowym“. Wskutek polityki ekonomicznej zaborców Polska jest gospodarczo słabo rozwinięta. Na wsi jest 8—10 miljonów głodnych i bezrobotnych ludzi. Polepszenia można oczekiwać od reformy rolnej, intensyfikacji gospodarstw rolnych i uprzemysłowienia kraju. Reforma rolna nie zaspokoi głodu ziemi bezrobotnej ludności wiejskiej i z konieczności musi być rozłożona na szereg lat. „O możliwościach rozwoju przemysłu decydują zasadniczo trzy czynniki: praca, kapitał i surowiec, pozatem — możność zbytu gotowych produktów“. Rąk roboczych ma Polska zadużo, nie ma jednak własnych kapitałów, „brak też Polsce większości surowców, które decydują o powstaniu i rozwoju przemysłu. Nie posiadamy dostatecznej ilości rud żelaznych, wełny, węgla koksującego, nie mamy miedzi, bawełny, juty, kauczuku.“ Wobec tak pesymistycznej sytuacji należy — zdaniem autora — zastosować radykalny środek: emigrację. „Zmniejsza on przyrost naturalny, jednocześnie polepsza bilans handlowy i poprawia sytuację rynku pracy wewnątrz kraju“. Krajami, mającemi nieprzebrane bogactwa naturalne i odczuwającemi brak dopływu kolonistów, są przedewszystkiem Argentyna i Brazylja.

Pozatem w „Drodze“ artykuł St. Napierskiego „Mitologja cierpienia“ (O podstawie poetyckiej Iłłakowiczówny), opowiadanie Jean Giono „Fryd z Maussan“, wiersze H. von Hofmannstahla w przekładzie A. Rzeczycy, artykuł Wassan-Girej Dżabagi „Wśród wulkanów na Dalekim Wschodzie“, omawiający sytuację polityczną pomiędzy Japonją, Sowietami i Chinami. R. M. Blüth analizuje na podstawie nieznanych szerszej publiczności materjałów, drugi proces moskiewski. Parę uwag o humanizmie, jako nowym prądzie ideologicznym, zamieszcza J. Bleiberg: „Nie tworzą oni (humaniści) żadnego określonego, zamkniętego systemu, w obrębie różnych doktryn stanowią lojalną niejako opozycję, nie dopuszczającą do nich skostnienia i pracującą nad ich przystosowaniem do zmiennych potrzeb życia ludzkiego. Dalecy od wszelkiego zacietrzewienia i fanatyzmu, odnoszą się z szacunkiem do cudzych poglądów, a największą radość sprawia im odnajdywanie wspólnych ogniw w różnych, napozór wrogich sobie stanowiskach. Są z natury i usposobienia pojednawcami-koncyljatorami, wyjaśniają sprzeczności, łagodzą przeciwieństwa, tworzą syntezy“.

Wspólnym rysem wszystkich odmian humanizmu (od socjalistycznego — L. Moulin — do katolickiego — Maritain) jest troska o harmonijny i nieskrępowany rozwój możliwości duchowych człowieka, o pełną realizację jego twórczych założeń uczuciowych i intelektualnych.

Ostatnio powstałe międzynarodowe towarzystwo filozoficzne p. n. „Philosophia“ głosi hasła humanizmu etycznego, uważa tę ideę za absolutnie trwałą i niezależną od konjunktury historycznej, zdobycz rozwoju kulturalnego człowieka. Bez niej rozwój staje się regresem, grozi powrotem barbarzyństwa, tem szkodliwszego, że rozporządzającego arsenałem środków, wytworzonych przez postęp nauki i techniki. Etyka humanistyczna ma więc zapobiec temu, by to, co zostało stworzone przez człowieka, nie obróciło się przeciwko niemu.

Kamena poświęciła numer marcowy Puszkinowi. Znajdujemy w nim artykuły krytyczne o twórczości Puszkina pióra W. Lednickiego, S. Kułakowskiego i L. Gomolickiego. Przekładów z Puszkina dokonali A. Bogusławski, K. A. Jaworski, S. Pollak i Wł. Słobodnik. Numer puszkinowski Kameny jest jednym z licznych hołdów, jakie literatura polska złożyła genjalnemu poecie rosyjskiemu w 100-ną rocznicę jego śmierci.

Skamander (kwiecień—czerwiec 1937), który z miesięcznika stał się kwartalnikiem, przynosi w ostatnim zeszycie Jerzego Boreiszy „Dialog o wodzostwie“, rozdział z „Pamiętników Sir Williama Turnera“; Wacław Rogowicz przełożył fra-

gment powieści, Flauberta „Bouvard i Pecuched". Pozatem trzeci akt komedji J. Iwaszkiewicza „Lato w Nohant", oraz wiersze: Z. Ginczanki, J. Brzechwy, R. Matuszewskiego, E. Zielińskiego, St. Gołębiowskiego, A. Sowińskiego i M. Rylskiego w przekładzie T. Hollendra.

Światło za marzec przynosi szereg uwag Z. Zaremby o perspektywach Obozu Zjednoczenia Narodowego, Wł. Jakubowski wykazuje gospodarczą wyższość małych gospodarstw nad wielkiemi, posługując się podobnemi argumentami, co Marja Dąbrowska w swojej szlachetnej książce „Rozdroże". „Parcelacja wielkiej własności rolnej i oddanie ziemi chłopom jest przy dzisiejszym stanie techniki i przy dzisiejszych metodach uprawy postulatem nietylko polityczno-społecznym, ale również gospodarczym". Zagadnienie pracownicy domowej — w Polsce i w innych krajach porusza S. Wiedzka. Autor artykułu „W obliczu nawrotu reakcji" stwierdza, że wobec ofensywy Niemiec na Wschód — „uzbrojona po zęby Polska stanowić musi naturalną wschodnią barjerę wojującej reakcji. Kto żąda rozbrojenia Polski — jest zbrodniarzem" — i domaga się stanowczego opowiedzenia się Polski po stronie państw demokratycznych.

W **Przeglądzie Powszechnym,** organie Jezuitów, znajdujemy takie artykuły: St. Szczutowski omawia położenie polityczne Polski w obecnej Europie, z „Krzyżowców" Szczuckiej obszerne sprawodzanie krytyczne składa T. Parnicki, uważając je za „najwybitniejszą polską powojenną, powieść historyczną z najciekawszych i najefektowniejszych pozycyj w dorobku całego powieściopisarstwa Polski Odrodzonej — zjawisko literackie o horyzontach i osiągnięciach na miarę prawdziwie europejską". W sposób wysoce nieuczciwy i tendencyjny omawia przemiany w Stronnictwie Ludowem J. Skaliński. Autor uważa, że dla chłopów nie jest potrzebna demokracja. „W tem zagadnieniu wyraźnie widzimy oddziaływanie na umysłowość chłopską obcych jej i zewnętrznych czynników". Nie podoba się autorowi także, że chłopi podkreślają swoją klasowość, że są obojętni dla kleru. Widzi ogromne niebezpieczeństwo dla Kościoła w tem, że chłopi idą własną drogą, że chcą mieć prawa polityczne i społeczne, i te prawa stanowić. — „Zagadnienia dostępu do surowców i kolonij" omawia R. Piotrowicz. „Piśmiennictwo łużyckie czasów powojennych" to temat artykułu J. Gołąbka. „Nie jest ona (literatura łużycka) zbyt oryginalna, ani bogata, ale wystarcza na podtrzymanie narodowości i to zadanie spełnia dobrze".

Pięknie wydany **Głos Plastyków** (nr. VII—XII) stanowi poważną pozycję w polskiej sztuce plastycznej. Poświęcony jest twórczości Paul Cezanne'a, wielkiego malarza francuskiego i Kazimierza Mitery, niedawno zmarłego artysty-malarza i redaktora „Głosu Plastyków". Szczególnie obszerny jest dział, poświęcony Cezanne'owi. Radnicki omawia „Twórczość Cezanne'a w świetle doby współczesnej, Fr. Biedart wystawę Cezanne'a w Paryżu w r. 1936, J. Czapski nową książkę o Cezannie J. Rewalda, pozatem czytamy szereg listów Cezanne'a o sztuce, jego myśli, wspomnienia o nim, rozmowy itd. Wszystko to razem, ozdobione licznemi reprodukcjami, stanowi małą monografję Cezanne'a, pierwszą na gruncie polskim. Sztuce polskiej został ten wielki malarz francuski przedstawiony wiernie i zasłużenie.

Szczególnie wzruszające są wspomnienia o K. Miterze. Wyłania się z nich człowiek wyjątkowo dobry i szlachetny. Obszernie napisali o nim Józef Czapski, J. Wolff, E. Schinagel i Wł. Lam. Znajdujemy także liczne reprodukcje prac Mitery.

Pozatem w numerze są następujące artykuły: J. Wolffa „Zbiory malarstwa w Łazienkach", D. Seydenmanowej „Palazzo Rezzonico w Wenecji" i Fr. Biedarta „Tadeusz Makowski (1882—1932)".

Bogaty, wszechstronny i żywy numer uzupełnia obszerny dział sprawozdawczy, informacyjny i krytyczny.

Całość zawierająca sto kilka na dobrym papierze odbitych reprodukcyj, przedstawia się okazale i stanowi chlubę redakcji.

Kwietniowy numer **Nowej Kwadrygi** jest częściowo poświęcony Puszkinowi: przekłady St. Ciesielczuka Wł. Słobodnika i B. Żyranika, artykuł St. R. Dobrowolskiego o „Lutni Puszkina". Pozatem artykuł Wł. Elsnera o metodzie objektywnej w badaniu literackiem, przekłady: z Carducciego J. Wieleżyńskiej i z Lukrecjusza E. Szymańskiego, fragment powieści G. Jareckiej. Numer uzupełnia dział recenzyjny sprawozdawczy, zdobi reprodukcja drzeworytu Marji Dunin.

Kwietniowy numer **Okolicy Poetów** przynosi artykuł St. Czernika, charakteryzujący powojenną poezję polską. Jeśli przed wojną poezja polska miała silny związek z kulturą Zachodu, to w okresie powojennym poddaje się wpływom rosyjskim (Balmont, Briusow, Błok, Majakowski, Jesienin, z dawniejszych Puszkin, Lermontow i inni). „Przedwojenna poezja polska była pod znakiem kultury poszlacheckiej, uzupełnianej, a właściwie odświeżanej przez dopływy mieszczańskie i chłopskie". Po wojnie do poezji weszły elementy nowe. „Wśród nich specjalnie wyrózniają się poeci pochodzenia żydowskiego. Jako wybitniejsze talenty artystyczne i organizatorskie stali się oni przodownikami, zastępując naturalnym jakby biegiem wydarzeń słabo kulturalnie rozbudowaną polską warstwę mieszczańską, niezdolną do objęcia opuszczonych przez żywioł poszlachecki stanowisk... O wiele mniejsze znaczenie miał początkowo przypływ elementów drobnomieszczańskich, robotniczych i chłopskich".

W numerze wiersze 14 poetów młodego pokolenia.

Lwów literacki (nr. 4) przynosi artykuły: M. Piechala „Norwidowska zasada oryginalności", J. E. Płomieńskiego „U źródeł renesansu twórców", T. Żakieja „O lirykach Jarosława Iwaszkiewicza", B. W. Lewickiego „Pieśń ludowa wielkiego miasta" (o filmie), M. Wrześniewskiej „O interpretacji", P. Hertza „Uwagi o krytyce", fragmenty powieści T. Parnickiego i J. Brzozy.

Wici, organ Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici", prowadzą dział „Kultura gromad, poświęcony kulturze chłopskiego słowa i czynu". W numerze 13 „Wici" znajdujemy w tym dziale utwory pisarzy chłopskich St. Młodożeńca, J. Wiktora, W. Burka, W. Skuzy, R. Koseły, J. Mortona, B. Deiworka, St. Gębali i innych. „To są ci pisarze — twierdzi Młodożeniec, — którzy zorjentowali się, że formowanie polskiego życia może się odbyć tylko według metody chłopskiej. My wszyscy zdajemy sobie sprawę, że prawdziwa Polska dopiero jest do zbudowania. Jeżeli swojem słowem zdołamy wyjaśniać drogi maszerującym gromadom, jeżeli my tem słowem będziemy porywać do wspólnych celów, jeżeli będziemy zachętą i skrzydłami, to będziemy dawali rzetelny chleb, będziemy budowali Polskę... Styl chłopski będzie organicznie zespolony z wizją tej Nowej Polski, jaką ukształtował przed naszemi oczami niezależny ruch chłopski. Co więcej — obowiązkiem pisarzy, związanych z tym ruchem, będzie uzmysławiać tę wizję, zapowiadać ją w pięknie obrazów, porywać dla niej wyobraźnię i serca ludzkie".

Epoka przynosi w każdym numerze aktualny materjał polityczno-społeczny. Interesujące są uwagi Wł. Kowalskiego na marginesie ostatnich dwu procesów moskiewskich (nr. 87, art. „Ciszej o Sowietach"). „Masy nie zaprzestaną walki z faszyzmem, który nie jest jakąś nową formą rozwiązania zagadnień społecznych, lecz jest chorobą wyrosłą na gruncie starego organizmu gospodarczego. Rujnujący system faszystowski odejść musi. Ale to wcale nie znaczy, że zastąpić go powinien despotyczny system sowiecki.

Masy ludowe i ten system odrzucą. Ażeby jednak w jakiejś chwili masy te nie zostały w kleszcze sowieckie chwycone muszą ten system poznać i zrozumieć. Nie widzimy więc potrzeby chowania głowy w piasek. Miljony robotników i chłopów żądają samodzielnego i wolnego życia, bez którego — jak to widzimy na ponurym przykładzie rosyjskim — niema również oświaty i chleba".

W **Pionie** K. Irzykowski porównuje „Dwie „Legendy" St. Brzozowskiego" (nr. 14). Tamże Wł. Pietrzak przeprowadza obronę pozy. Numer 13 „Pionu" został poświęcony pamięci Szymanowskiego. W numerze 15 J. Putrament pisze o narodzinach literatury białoruskiej, a szczególnie o najwybitniejszym jej współczesnym przedstawicielu, Maksimie Tanku.

Wiadomości literackie drukują w dalszym ciągu bardzo ciekawe reportaże z Hiszpanji Ks. Pruszyńskiego, essaye Boya o królowej Marysience. Niezbyt szczęśliwie rozpoczęły dyskusję na temat: „Pisarze polscy o kwestji żydowskiej w Polsce". Dający wiele do myślenia artykuł o stosunkach polityczno-społecznych w dzisiejszym Wiedniu zamieścił M. Dawn w numerze 701 („W Wiedniu antrakt").

W **Kulturze** (nr. 51) J. J. Dunin-Michałowski zamieścił wstrząsający artykuł o nędzy i głodzie na Wileńszczyźnie. Artykuł ma tytuł: „Makabryczna rzeczywistość": „...spotykałem starców i dzieci opuchłych z głodu. W innych znów widziałem ludzi żywiących się sieczką pomieszaną z zepsutemi ziemniakami i różnego rodzaju zielskiem oraz korą z drzew... na przypiecku lub w kątach na barłogu leżą nieruchomo ludzkie postaci osłabione z głodu, nic nie mówiące, tylko na śmierć-wybawicielkę oczekujące, w drugiej zaś połowie chaty widać wychudłe, ryczące z głodu bydło lub ledwo utrzymującego się na nogach konia... A wszystko to zdaje się być skazane na bliskie już zamarcie z głodu..." „Kultura" w każdym prawie numerze ogłasza przekłady z prac wybitnych francuskich katolików Maritaina lub Mauriaca.

W numerze 55 Z. Żelska-Mrozowicka pisze słusznie: „Jeśli ktoś rękami i nogami broni się przed statolatrją, faszyzmem i hitleryzmem to kiwa się nad nim ponuro głową i poszeptuje po kątach, wznosząc zgorszone oczy ku niebiosom: Ha! Co robić! Oto macie jeszcze jeden przykład penetracji sowieckiej! Niby porządny człowiek, a przecie wpadł w sidła masońsko bolszewickiej żydo-komuny. Cóż z tego, że nie jest może agentem komunistycznym: bierne pionki są jeszcze groźniejsze, bo one tworzą nawarstwienie opinji publicznej". Autorka wzywa zatem: „Trzeba przekreślić tę zgubną, niebezpieczną i bezsensowną linję podziału na faszystów i komunistów".

Prosto z mostu poświęciło cały prawie numer 125 pamięci Karola Szymanowskiego. Numer, poświęcony temu genialnemu kompozytorowi, zapowiadają również „Wiadomości literackie". W numerze 127 dalszy ciąg wspomnień St. Wojciechowskiego, b. prezydenta Rzeczypospolitej z lat 1892—1894.

Na uwagę zasługuje popularny, demokratyczny i postępowy tygodnik **Wotum,** skupiający przeważnie pisarzy młodych.

K. K.

NIEZNANY FRAGMENT „PANA TADEUSZA"

W XII księdze „Pana Tadeusza" jest miejsce (od w. 225), w którem stary Maciej Rózeczka zjawia się na uczcie. Wiwatująca szlachta sadza go za stół przemocą prawie, ale Maciek przyszedł oglądnąć tylko armję narodową. Na znak protestu przeciw przyjęciu obraca swój talerz dnem do góry. Tymczasem o sto kilkadziesiąt wierszy dalej ten sam Maciej, krytykując nowe urządzenia w armji polskiej w oburzeniu (w. 397—398):

............Tu Maciej chleb umoczył w zupie
I jedząc, nie dokończył ostatniego słowa.

Zawsze interesowało mnie, w czyjej zupie umoczył chleb Maciek i czyją zupę zjadł potem, skoro obyczajem bodajże Lapończyków o sto kilkadziesiąt wierszy wstecz wyraźnie (ww. 238—239):

To wyrzekłszy, przewrócił talerz dnem dogóry,
Na znak, że jeść nie będzie, i milczał ponury.

I oto udało się odnaleźć w Bibljotece Ossolińskich fragment, który cośniecoś o tej sytuacji tłumaczy. Oto i on:

To wyrzekłszy, przewrócił talerz dnem dogóry,
Na znak, że jeść nie będzie, i milczał ponury.

Tekst znaleziony, który należy prawdopodobnie tu umieścić:

Sędzia przypadł stroskany i o powód pyta...
Maciej nie odpowiedział: „Zły jestem i kwita!"
I tylko tocząc wzrokiem wokół na wsze strony,
Sapał, jak dzik w litewskich lasach obudzony,
Aż ponurem spojrzeniem potoczywszy wszędzie,
Powiedział: „Ha, więc dobrze, niech na waszem bedzie,
Odpowiem, ale zupy waszej jeść nie będę..."
Wszyscy w milczeniu wokół postawali rzędem,
A Maciej w twarzach gości wzrok topił surowy,
Jeszcze mruczał, aż temi odezwał się słowy:

„Widzę dokoła wojsko. Pono narodowe,
Polskie wojsko, przed polskiem zawsze schylam głowę,
Sam jestem stary żołnierz, biłem się niemało,
W Konfederacji jeszcze Moskwę się bijało,
I potem, pod Kościuszką, nie byłem od tego,
Któż z was, panowie bracia, nie znał Dobrzyńskiego
I jego ręki dobrej do zgody i zwady,
I dziś przynajmniej głowy gotowej do rady.
Dziś, gdy służyć ojczyźnie trudno ręką zdrową,
Stary Maciej jej służyć chciałby chociaż głową.
Ale przy siwej głowie staropolska odzież,
Niechętnie takich ludzi słucha dzisiaj młodzież,
Ubrana po francusku, hiszpańsku, niemiecku,
I myśląca po włosku, austrjacku, szwedzku,
Byleby nie po polsku... Nic po mojej mowie..."
Tu umilkł... „Panie Maćku, powiada przysłowie
— Rzekł Sędzia — mądrej głowie — dość dwie słowie, a my
Nie jesteśmy za mądrzy, dlatego czekamy,
Co nam powiedzieć raczy głowa najmądrzejsza,
Bo najstarsza, więc dokończ, a o resztę mniejsza..."

Maciej głową potrząsał, jakgdyby nie słuchał.
Ale widać, że Sędzia już go udobruchał,
Bo mruknąwszy coś ruszył ściśniętemi usty,
A potem nagle palcem stuknął w talerz pusty,
Który sam dnem dogóry odwrócił na stole...

Talerz był malowany... Było na nim pole,
A na polu bitewne i wojenne sceny.
Serwis takich talerzy, poprostu bez ceny,
Został kiedyś Sędziemu jako dar oddany.
Talerze były z owej saskiej porcelany,
Której modę do Polski Król August wprowadził.
Kiedyś klient Sędziego na dar się wysadził
I serwis został w domu. Na uroczystości
Największe podawano dla wybitnych gości
Sztuki z tego serwisu.
A tymczasem stary
Maciej ręką poprawiał wolno okulary,
Patrząc na sceny, które malował artysta,
I czekał, aż nastała cisza uroczysta...
Wnet słuchali go wszyscy. Wtedy rzekł: „Żołnierze
Nowomodni i stare na stołach talerze...
Nie chciałem jeść, pytacie, jaka w tem przyczyna?
Powiem — talerz mi nasze nowe wojsko przypomina,
Po wierzchu malowane, kraśne, wystrojone.
A wewnątrz?" — Tu w talerza Maciej wierzchnia stronę
Stuknął palcem, skrzywiwszy pogardliwie usta...
— „Tak, z wierzchu — rzekł — kolory — w środku próżnia pusta!

Oto mi wojsko. Dawniej, byleś miał szablisko
Szczerbate, ale tęgie, mogłeś iść na wszystko.
Byleś wiedział, że serce bije ci i wali,
Mogłeś sam na tysiące wyruszyć Moskali,
A dziś co?"...
Maciej skończył, nie chciał mówić więcej.
Już żołnierzom na twarzach zakwitły rumieńce,
I byłbyś stary Maćku doczekał się wojny
Gdybyś nie był tak siwy, stary i dostojny,
Bo się krewkiej młodzieży już rwały prawice
I same opadały na szabel głowice...
Uratował rzecz Wojski... Ten, że szlachcic prawy,
Stary Maciej na niego był zawsze łaskawy,
Zbliżył się więc do niego i zaczął w te słowa:
„Ejże, panie Macieju, zacność narodowa
Żyje i w tej młodzieży, a czy to wypada,
Gdy starzec, zamiast pomóc, takie rzeczy gada.
Jeśli są serca puste u zacnej młodzieży,
To je raczej napełnić, niż ganić należy,
A któż je ma napełnić, jak nie starsi wiekiem?
Panie Maćku, i pan był też młodym człowiekiem.
I panu gorżkie rzeczy powiadali starzy...
A skoro dzisiaj młodym okazja się darzy,
Że mogą nas zastąpić przy kraju obronie,
To już doprawdy, sam ich przed tobą zasłonię
I do twych lat sędziwych chyląc się podnóża, —
Zawołam — Wiwat młodość, co starość przedłuża!
Wiwat młodość, co za kraj walecznie się bije!"
Lecz już wszyscy krzyczeli: — „Wojski niechaj żyje!"
Ale Wojski, choć wesół, do wszystkich się śmieje.
Krzyknął: — „Nie! Niech nam żyje Maciej nad Macieje!
— „Niech żyje!" — wykrzyknęli. Wojski kucharzowi
Tymczasem dawał znaki. Ten ku Maciejowi
Zbliżył się z wazą wielką i pachnącą słodko...
— „No, — rzekł Wojski — ażeby było w środku,
Napełnimy ten talerz, mój panie Macieju,
Na koniec kontrowersji". Wszyscy wkrąg się śmieją,
Chwaląc dowcip Wojskiego. Ten się już oddalał,
Bo już kucharz Maćkowi talerz zupy nalał.

Ale Maciej ponury i milczący siedział.
I nie dotknął jedzenia. I nikt już nie wiedział,
Jak udobruchać starca... Proszą go do jadła,
Ale Maćka zawziętość trzymała zajadła.
Zapraszali go grzecznie wszyscy goście w domu,
Ale on nawet słowa rzec nie chciał nikomu,
I gdy pozostał głuchy na prośby Sędziego
Pan Jenerał Dąbrowski zbliżył się do niego.

tu fragment znaleziony się urywa. Dalej tekst od w. 240:

„Panie Dobrzyński, rzekł mu jenerał Dąbrowski,
Tyż to jesteś ten sławny rębacz kościuszkowski...

Odkrył i do druku podał TADEUSZ HOLLENDER

Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK
Redakcja i administracja:
LWÓW, UL. HAUKE BOSAKA L. 4
codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godziny 18—19
PRENUMERATA:
roczna 5 zł., półroczna 2·60 zł., kwartalna 1·40 zł.
Konto P. K. O. 503.400, przekaz rozrachunkowy nr. 1

Redaktor odpowiedzialny: TADEUSZ BANAŚ. Z drukarni „SŁOWA POLSKIEGO", Lwów, Zimorowicza 15.